CZWARTEK
Nr 111 87-09-17 Cena 15 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

W Finlandii gości wita się i żegna kwiatami. Z roku na rok przyjeżdża ich coraz więcej do tego pięknego i bardzo interesującego kraju. Oczarowani wracają do domu, przywożą i starają się zaszczepić u siebie to, co może być najbardziej przydatne. Przed laty podbił polskich harcerzy „fiński nóż — finka". O tym, co przywieźli tym razem korespondenci HSI „Świata Młodych", przeczytacie w trzech kolejnych numerach naszej gazety. Już dziś na stronie 5.

Fot. **P. Jaworski**

PUUKKO znaczy...

Kraków 8–11 października 1987

CHRYPA '87 zaprasza

● CHRYPA to spotkanie z piosenką harcerską, wspólne śpiewanie, zabawa i nauka ● CHRYPA to forma prezentacji dorobku artystycznego środowisk starszoharcerskich z całej Polski, w tym kręgów instruktorskich, akademickich, drużyn starszoharcerskich i solistów, zespołów muzycznych i artystycznych ● CHRYPA to zaproszenie na spotkanie z piosenką ● CHRYPA to możliwość spotkania z twórcami i artystami profesjonalnymi na imprezach towarzyszących ●

Tak reklamują organizatorzy — Krąg Instruktorski Białej Podkładki i Komenda Chorągwi ZHP w Krakowie — **Starszoharcerskie Prezentacje Muzyczne.** Zapraszają na nie solistów i zespoły śpiewające, cechujące się nowatorskim i poprawnym warsztatem muzycznym. Występujący przygotowują program złożony z trzech piosenek o charakterze turystycznym, poetyckim, żeglarskim lub kabaretowym. Ich prezentacja nie może przekroczyć 10 minut. W programie powinna się znaleźć przynajmniej jedna piosenka dotychczas nie publikowana, ani nie prezentowana na żadnym ogólnopolskim festiwalu.

Zgłoszenia należy nadsyłać w nieprzekraczalnym terminie do 25 września br. pod adresem:

BIURO ORGANIZACYJNE
SPM „Chrypa'87"
Komenda Chorągwi ZHP
ul. Karmelicka 31
31-131 KRAKÓW

Więcej szczegółów organizacyjnych można się dowiedzieć telefonując do Krakowa pod nr. **22-77-22, 22-98-44**

Morze już nie... czerwone

KAIR (PAP). Zdaniem prasy egipskiej, nazwa Morze Czerwone nie ma już uzasadnienia. Woda w tym morzu nie różni się od tej, która płynie rynsztokami. Zanieczyszczenie całej zatoki Sueskiej i Morza Czerwonego przybiera katastrofalne rozmiary. Od chwili ponownego uruchomienia Kanału Sueskiego (w 1975 r.) przepłynęło tym szlakiem ponad ćwierć miliona statków w tym jedna trzecia to tankowce. Niemal każdy z nich pozostawia za sobą tłuste plamy wyciekającej ropy naftowej.

W tej sytuacji życie biologiczne w Morzu Czerwonym powoli zaczyna zamierać, a woda traci charakterystyczny odcień czerwieni.

REPORTER Świata Młodych

● Tu Liga Reporterów
● Tu Liga Reporterów

JAK WYRWAĆ TĘ RZEPKĘ?

Witam!

Śpiewy i wołania: lato, lato zostań dłużej nic nie pomogły, przyszedł wrzesień, nowy rok szkolny już zaczęty. Jeszcze trochę wspomnień z wakacyjnych ścieżek, trochę tęsknoty za lipcem i sierpniem, ale pora zabrać się za sprawy poważne.

Temat dla członków i kandydatów na członków Ligi Reporterów z zacięciem społecznikowskim — czeka. Temat o wspólnym działaniu, o przedsięwzięciach dokonanych wspólnymi siłami.

Samotnych siłaczy mieliśmy wielu, ale dwie głowy (i cztery ręce), to nie jedna. A kiedy głów jest kilkadziesiąt i dwukrotnie więcej rąk? Czego można dokonać?

W wielu wsiach zbudowano drogi, wodociągi, nowe szkoły, ośrodki zdrowia. W miastach powstały dzielnicowe place zabaw, kluby dla młodzieży w wyremontowanych piwnicach, na strychach. Posadzono drzewa i kwiaty, uporządkowano osiedla.

Zawsze musi być ktoś, kto zacznie, kto namówi, da przykład. Zupełnie jak dziadek nie miał siły wyciągnąć z ziemi. Udało się rzepkę wyrwać wspólnymi siłami. Takie działanie przynosi pożytek podwójny — „coś" powstaje, a uczestnicy działania odczuwają satysfakcję, poczucie więzi.

● Przedstaw w atrakcyjnej formie wykonane wspólnymi siłami przedsięwzięcie w Twojej szkole, na podwórku, w dzielnicy, wiosce, gminie. Podaj szczegóły, pisz o konkretnej sprawie.

● Napisz o człowieku, który jest (lub był) motorem wspólnego działania, organizatorem udanej i dokończonej budowy czy akcji przeprowadzonej wbrew wszelkim przeciwnościom i niemożnościom.

● Puść wodze fantazji i napisz, co dla Ciebie jest tą rzepką, którą należy wyrwać wspólnymi siłami.

Na autorów najlepiej napisanych i najciekawszych prac czekają nagrody!

Prace adresuj: Liga Reporterów, red. „Świat Młodych", ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. Dopisz hasło **„Jak wyrwać tę rzepkę".**

Szef
Ligi Reporterów

Szukamy... Tropimy... Kto ma pomysł? Kto znalazł? Kto ma zabawkę godną popularyzacji?

Piszcie... pokażcie... proponujcie. Zapraszamy wszystkich tych, którzy chcą się bawić i tych, którzy projektują i produkują.

UWAGA, dobra zabawka!

Na letnim festynie sportowym na warszawskim Marymoncie zauważyliśmy świetną zabawkę rekreacyjną:

piłeczka tenisowa... na sznurku. Do odbijania przez jedną (lub dwie!) osobę. Wymaga szybkości. Wyrabia refleks, uderzenie.

Przed kilku laty produkowane były przez Rzemiosło podobne przyrządy, tzw. autotrenery „Wojtek" (pewno na cześć Wojtka Fibaka!).

● Kto wymyślił atrakcyjną zabawkę dla młodzieży?
● Kto trafił na ślad dobrego przyboru rekreacyjnego?

CZYM SIĘ BAWIĆ?

● Pan W.M. z Warszawy zaprezentował nam coś bardzo podobnego — tenisową piłeczkę na długiej, mocnej gumce. Zaczepia się tę gumkę na haczyku wbitym w ścianę i odbija piłeczkę tenisową rakietą. Piłeczka „nie ucieka", nie ma obawy, że wybije okno sąsiadowi z parteru. Można trenować samemu bekhendy i forhendy niemal na każdym podwórzu.

Fot. **J. Łopuszyński**

BĘDZIEMY W KĘTRZYNIE, PRZYJDŹCIE DO NAS!

Za kilkanaście godzin do Kętrzyna zjadą korespondenci Harcerskiej Służby Informacyjnej „Świata Młodych". To spotkanie, tym razem na północy kraju, zaplanowaliśmy sobie jeszcze podczas wiosennego zlotu w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej. Do Kętrzyna zaprosiła nas dwójka „haesiaków": Agnieszka i Kamil, biorąc na swe głowy całą organizację zlotu. Mieszkających w pobliżu, a zainteresowanych przystąpieniem do światomiodowego HSI, a także naszą gazetą, ZAPRASZAMY! W miejscowej komendzie hufca dowiecie się, gdzie nas znaleźć.

Jak każda porządna drużyna, tak i my spróbujemy podsumować poprzedni rok naszej pracy i zaplanować nadchodzący. A będzie o czym mówić. Przed rokiem redagowaliśmy gazetę na Harcerskim Festiwalu Kultury Młodzieży Szkolnej w Kielcach, zimą mieliśmy warsztaty dziennikarskie, które towarzyszyły Przeglądowi Harcerskich Teatrów Lalkowych w Kętach, poza tym staraliśmy się być tam, gdzie nas zapraszano (zloty, rajdy) opisywaliśmy sprawy, ludzi, wydarzenia godne naszym zdaniem zaprezentowania na łamach „ŚM".

Tego lata warsztatów nie było, za to najbardziej doświadczeni i najlepsi korespondenci zostali puszczeni na głęboką wodę. Samodzielnie, bez redakcyjnej opieki mogli sprawdzić nabyte umiejętności. Byli w Bieszczadach, na polach Grunwaldu, we Fromborku, w Chorzowie. Kilka osób wysłaliśmy za granicę, do Bułgarii, Finlandii, NRD i Związku Radzieckiego. Dziś rozpoczynamy druk ich korespondencji i zachęcamy do lektury. Teksty są naprawdę ciekawe!

A tym, którzy chcieliby dołączyć do haesiackiego bractwa niebawem przypomnę warunki, jakie powinien spełnić przyszły nasz korespondent.

CZUWAJ!

Maria Jaworska

CMOPiP — Chorzów '87

W OBOZOWYM BIURZE PRASOWYM

— Jesteście państwo na XXXV Centralnym Międzynarodowym Obozie Pokoju i Przyjaźni. W tym roku odbywa się on pod hasłem *„O szczęśliwą przyszłość dziecka"*. Gościmy 33 delegacje z 25 krajów...

— Proszę podać kilka bardziej egzotycznych.

— Chile, Palestyna, Cypr, Tunezja, Angola — recytuję niby wyuczoną lekcję i dodaję — z państw socjalistycznych przyjechały delegacje z ZSRR, Czechosłowacji, Węgier, NRD; z państw Europy Zachodniej: Francja, RFN, Hiszpania, Holandia...

Kończę udzielać informacji, gdy podchodzi następna grupa dziennikarzy. Zaczynam więc od nowa: „Jesteście państwo..."

Tak mniej więcej wyglądała moja praca jako tzw. obsługi prasowej CMOPiP. Praca? A może po prostu interesująca, ale i odpowiedzialna przygoda? Moim obowiązkiem było udzielanie informacji dziennikarzom: co, gdzie, jak, dlaczego i kiedy się dzieje na naszym obozie w Chorzowie. W wolnych chwilach uczyłam się pisać na maszynie oraz oswajałam z teleksem.

Mój notatnik zapełniał się numerami teleksów i telefonów, pojawiały się nazwiska, daty, godziny. Wieczorem przygotowywałam informacje, które były nadawane teleksem do GK ZHP, PAP czy do redakcji gazet. Łatwo było o jakieś potknięcie, wpadkę, na szczęście odczuwałam dyskretną opiekę i pomoc komendy obozu (bardzo dziękuję!).

A teraz zacznę chyba od początku, tj. od informacji, że: od 13 do 23 lipca br. nasi goście odpoczywali na obozach harcerskich organizowanych przez komendy chorągwi. Mogli zapoznać się z metodyką i formami pracy na obozach ZHP. Poznali życie pod namiotem, jego uroki i niedoskonałości. Z tych ostatnich najbardziej dokuczliwe były komary (Karin pytał mnie często, dlaczego te polskie komary tak lubią Francuzów) oraz — co chyba ważniejsze — brak organizacji. Jest to tym smutniejsze, że harcerstwo to przecież nie tylko zabawa i piosenki, ale również dyscyplina i porządek. Zabrzmiało to bardzo oficjalnie, ale... może powinno to tak zabrzmieć. 23 lipca wszystkie delegacje przyjechały do Chorzowa, gdzie następnego dnia odbył się apel inauguracyjny. W górę poszybowały kolorowe baloniki, na maszt wciągnięto flagi, orkiestra zagrała, a ja rozpoczęłam pracę (czytaj: przygodę) w obozowym biurze prasowym.

W pogoni za „mięsem"

— Iwona, zapisuj — powiedział druh komendant. — 24 lipca dziennikarz z „ŚM". 26 lipca telewizja katowicka. 28 lipca Polskie Radio.

W radiu mieliśmy kilka „wejść": w „Śląskiej fali", „Sygnałach", „Halo, wakacje", „Ekspres". Ja musiałam wcześniej zawiadomić osoby mające być „na fali". Moja misja wymagała taktu i dyplomacji. Bo, że będzie się w radiu, to fajnie, ale o godzinie 7.00 czy nawet o 5.45, oj! A tu jeszcze zadanie od reportera: — Mała, przygotuj jakieś informacje na jutro: ciekawostki, sensacyjki, tzw. mięso.

Nooo tak! Od sensacyjek i ciekawostek byli na Malcie chłopcy z obsługi technicznej. To oni przynosili szokujące wiadomości z zaplecza i radzili: „Musisz opisać jakiś skandal" Uf, ręce mi opadają od tych ich skandali. Wieczorem sama się męczę nad ciekawostkami. Kto pobił rekord pod względem czasu podróży do Polski? Koreańczycy. Jechali 8 dni! Wśród uczestników obozu więcej jest dziewcząt czy chłopców? Szperam w dokumentach i okazuje się, że ... dziewcząt. Zapisuję też wymagania dotyczące posiłków, np. muzułmanie nie jedzą mięsa, delegacje z Hiszpanii, Algierii, Cypru, Tunezji proszą o zimną wodę do każdego posiłku zamiast herbaty, dziewczyna z Finlandii jest na specjalnej diecie warzywnej. I jeszcze garść informacji: w konkursie na plakat o tematyce pokojowej I miejsce zajęła Francja, podczas festiwalu piosenki dziewczęta z KRLD i Mongolii podobały się najbardziej, na obozie wypoczywa też Bathu z Mongolii, zaproszony do Polski przez gen. Jaruzelskiego, itd., itd.

Ostatecznie nagrania radiowe przebiegają bez problemów. Komendant, dh Roman Kowalczyk, zwycięsko wybrnął z podchwytliwych pytań, obozowa kapela spisała się świetnie, rozmowna opiekunka z Austrii i jej tłumaczka mówiły długo i ciekawie, nawet gdy już nie było mikrofonu.

Więcej szacunku, czyli co kraj to obyczaj

Cieszę się, że często powtarzane słowa, dziś już będące niemal stereotypem: „Młodzież całego świata, mówiąca różnymi językami, o różnych kolorach skóry, różnej kulturze potrafi porozumieć się..." Cieszę się, że te słowa sprawdziły się. Nie, to wcale nie znaczy, że nagle ze wszystkimi można o wszystkim rozmawiać bez pomocy tłumacza. Ale od czegóż gesty, mimika. W efekcie mnóstwo nowych znajomości, przyjaźni, adresów do korespondencji.

Różnice obyczajów najlepiej ilustruje rozmowa ze studentem koreańskim. Czon Guk Hwon studiuje w Polsce i nieźle zna nasz język. Pewnego razu wpadł do naszego pokoju coś pożyczyć.

— Klapnij sobie — powiedziała Anka i dodała: — Rozumiesz, usiądź sobie.

Gość uśmiechnął się i mrugnął porozumiewawczo: — Wiesz, u nas trzeba, żeby dziewczyna mówiła z większym szacunkiem do chłopca.

Zaciekawione poprosiłyśmy Czon Guka, aby opowiedział o swoim kraju, życiu codziennym i obyczajach. Rozmowa była interesująca, taka mała lekcja wzbogacona o wiadomości, których w podręcznikach nie uświadczysz. A wracając do szacunku, to okazało się, że Koreanki nawet po ślubie nie mówią mężowi „ty"!

— O, bądź pozdrowiony! — pożegnałyśmy gościa. W ten oto sposób obyczajom koreańskim stało się zadość.

★

1 sierpnia spotkanie z przedstawicielami władz państwowych w Warszawie. Pełna gala, no i oczywiście pełno dziennikarzy: prasa, radio, telewizja. Krótkie przemówienie wicepremiera Zbigniewa Szałajdy, kwiaty, upominki, krótkie popisy gości z Wielkiej Brytanii i ZSRR. Ja w tym czasie oczywiście powtarzam:

— Delegacje zwiedziły Katowice, Kraków, Oświęcim i inne miasta Polski. Odbyły się też spotkania z przedstawicielami władz regionu śląskiego, kiermasz z inicjatywy uczestników obozu, z którego dochód przeznaczono na pomoc dzieciom z Nikaragui, liczne konkursy, spotkania przyjaźni, dyskoteki.

Wśród dziennikarzy szepty: „Kim jest ta pani w sukience w paski? Z jakiego miasta pochodzą Anglicy?" Najbardziej podchwytliwe pytania zadaje dziennikarz z „Na przełaj". Staram się odpowiadać, jeśli nie mądrze, to przynajmniej z wdziękiem.

Ostatnie zdjęcia, notatki, ostatnie łakocie znikają ze stołu. Ostatnie pląsy, piosenki. Sala pustoszeje.

Kończy się obóz. Kończy się moja rola „obsługi prasowej". Czego nauczy mnie kolejna przygoda z dziennikarstwem?

Iwona Jaworska
korespondentka HSI „ŚM"
Staszów

REDAKCYJNA POCZTA

Fanki wiedzą swoje

„Nie powinno się wprowadzać w błąd fanów zespołu"... Chodziło o zespół Herreys. Było to ostatnie zdanie listu Iny pt. „Czas leci, a lat przybywa..." zamieszczonego w numerze 88 „ŚM". Jest rok 1987 a więc kolejno:

Per urodzony w 1959 roku ma 28 lat, a nie 29 ani 25, Richard urodzony w 1965 roku ma 22 lata, a nie 23 ani 19, a najmłodszy z braci Louis urodzony w 1967 roku ma obecnie 20 lat. W liście z nr. 55 autorka odmłodziła zespół o dobre 3 lata, a ostatnio ina dodała im lat. A teraz to już chyba będzie w porządku. Pozdrawiamy wszystkich najwierniejszych wielbicieli wspaniałego trio Herreys

Simone, Doris i Nicol

Bądź mężczyzną!

Piszę w sprawie listu zamieszczonego w nr. 95 „ŚM" „Już mnie nie kocha..."

Twoja dziewczyna wie, że zależy Ci na niej i dlatego tak się zachowuje. Musisz być „twardy". Zapytaj się czy chce jeszcze z Tobą chodzić? Jeśli chce, to spytaj dlaczego nie chce się z Tobą umawiać. Jeśli powie, że znudziła się, musisz zerwać z nią wszelkie kontakty. Mów jej: „cześć", ale nic poza tym, chyba, że sama zacznie rozmowę. Spróbuj o niej zapomnieć, na pewno znajdziesz inną, może bardziej wyrozumiałą dziewczynę. Życzę Ci dużo szczęścia.

Iwona z Wyszkowa

Przezwiska z filmów też są dobre

Chciałabym wypowiedzieć się na temat listu Iki (nr 81 „ŚM" — RP) Uważam, Iko, że nie masz racji, chociaż dobrze, że są jeszcze ludzie, którzy walą prosto z mostu. Nie masz nic do przezwisk typu: „Mała", „Biedronka", Gacek", Kaktus" itp. ale nie rozumiem co złego widzisz w przezwiskach z filmów? I piszesz jeszcze, że one o właścicielu nic nie mówią.

Nie zgadzam się z Tobą! To jasne, jak słońce, że jeśli jest się „Tarą" lub „Stephi" musi się być elegancką, zgrabną i dobrą. „Jilly" — elegancka, sprytna, uparta, chytra, piękna i zgrabna, „Sanders" — przystojny, urodziwy, pociągający, ale przebiegły. „Egon" lub „Olsen" — śmieszny, uparty, pomysłowy, ale pudłujący. I tak wszystkie imiona można sobie wytłumaczyć. Twoje przezwisko nie jest chyba z filmu, ale można je zmienić np. na IDA z Esd.

Daisy

Nie zostawię przyjaciela...

Do mojej klasy chodzi uczeń, który ma kłopoty z nauką. Mimo dobrych chęci nie jest w stanie pokonać „poprzeczki". Sądzę, że jest po prostu mniej zdolny od innych. Poza tym jest nieśmiały. Chciałbym mu pomóc. Chciałbym, żeby np. koledzy mieli do niego zaufanie, żeby pozwolili mu uwierzyć w siebie, w to, że i on „stanie na własnych nogach", że zdobędzie dobry zawód i będzie kimś.

Niestety nie mogę przekonać kolegów, żeby zorganizować mu pomoc w nauce, choć są lepsi ode mnie.

Nie daję jednak za wygraną, staram się go wciągnąć w nasze koło, żeby nie zostawał na boku. Nieraz jest mi go żal, na przykład gdy koledzy go przezywają.

Jestem jednak dobrej myśli. Sądzę, że uda mi się namówić kolegów, żeby pomóc mojemu przyjacielowi.

Radosław

OD REDAKCJI: Radku, trzymamy kciuki za pomyślność Twojego przedsięwzięcia. Gdyby tak każdy na swojej drodze mógł spotkać takiego przyjaciela, jakim ty jesteś!..(bs)

ŚPIEWNIK ŚWIATA MŁODYCH

RUSZAJ W DROGĘ

Słowa: J. Litwiniuk
Muzyka: J. Kurczewski

2. Chociaż czasem niebo się zachmurzy,
Harcerz ducha nie traci, nie kwęka,
Gdy zapasy się skończą w podróży,
Starczy wtedy beztroska piosenka

3. U wrót lasu, gdzie zórza się pali
Rozbijemy zielone namioty,
Z leśnej księgi będziemy czytali,
Szumy sosen i lasów świergoty.

4. Las nam swojej użycza gościny,
Rzeka pluszcząc do wody zaprasza,
Dziękujemy ci, kraju rodzinny,
Droga ziemio, na wieki już nasza

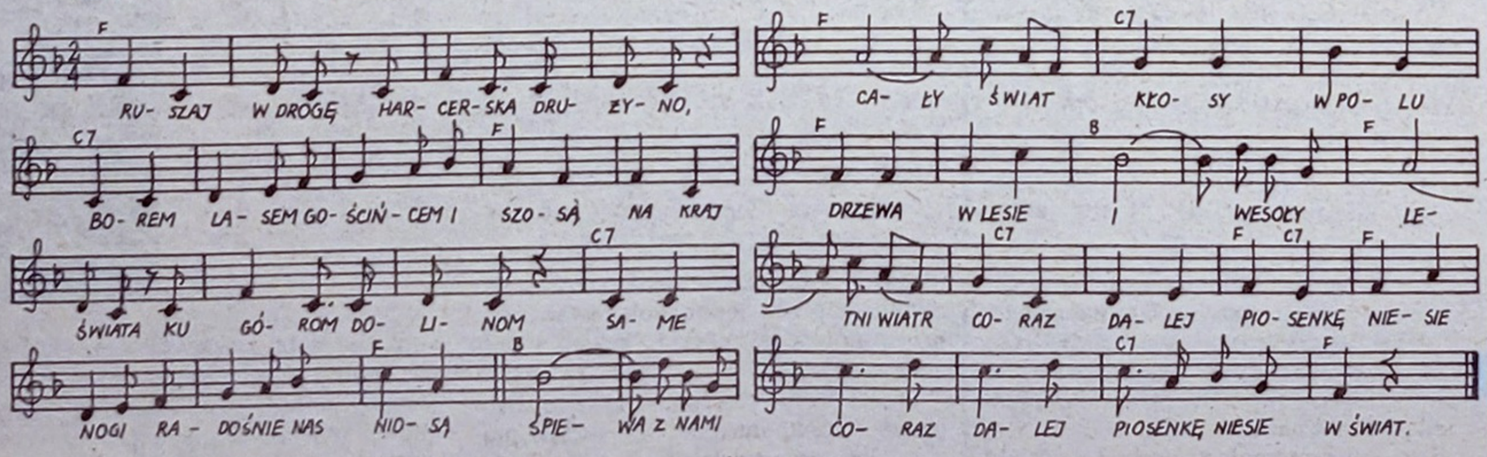

Ściągawka z historii

TRAGICZNIE TRUDNE LATO

„Wzajemne stosunki (polsko-radzieckie — przyp. mój) *cechował brak dobrej woli i nieżyczliwość, a niejednokrotnie przeradzały się w ostre konflikty. Spowodowało to niejedną tragedię. Wycisnęło piętno na świadomość narodową obu stron. Naturalnie, potrzebny będzie czas, żeby wszystko to przezwyciężyć. To można przezwyciężyć i mam nadzieję, że historycy nam w tym pomogą"* — napisał **Wojciech Jaruzelski** omawiając przedwojenną rzeczywistość w artykule opublikowanym we wrześniu w radzieckim miesięczniku „Kommunist".

Jedną z tych dramatycznych, nie do końca wyjaśnionych, spraw naszej wspólnej historii były polityczne okoliczności towarzyszące wybuchowi II wojny światowej, kiedy to *„balast wzajemnej nieufności"* nie pozwolił wspólnie przeciwstawić się hitlerowskiej agresji. Co więcej, doprowadził do wydarzeń po dziś dzień uwierających świadomość historyczną obu narodów. Dramatyzm sytuacji polegał na tym, że zabrakło wzajemnego zaufania, że niedobra przeszłość zaciążyła nad rozsądkiem. Zapłaciliśmy za to olbrzymią cenę.

O sprawach tych można i należy mówić otwarcie i szczerze, po to by zamknąć niedobre rozdziały naszych wzajemnych stosunków.

Mówiąc o przededniu II wojny światowej nie można pominąć roli i charakteru **układu radziecko-niemieckiego z 23 sierpnia 1939 r.** znanego jako pakt Ribbentrop-Mołotow, i jego następstw. Układ o nieagresji podpisany w nocy z 23 na 24 sierpnia 1939 r. przez Ministra Spraw Zagranicznych III Rzeszy **Joachima von Ribbentropa** i premiera (równocześnie Ministra Spraw Zagranicznych) ZSRR **Wiaczesława Mołotowa** był dla Hitlera wielkim dyplomatycznym sukcesem, porównywalnym z Monachium. Tam, w stolicy Bawarii we wrześniu 1939 roku doprowadził on do tego, że Anglia i Francja zgodziły się na oddanie mu bez walki Sudetów, a potem całej Czechosłowacji; teraz tu, w Moskwie, została oddalona możliwość utworzenia koalicji antyhitlerowskiej składającej się z ZSRR, Anglii, Francji i innych państw europejskich. Artykuł IV układu moskiewskiego przewidywał bowiem, że *„żadna z umawiających się stron nie weźmie udziału w jakimkolwiek ugrupowaniu państw, które bezpośrednio lub pośrednio skierowane jest przeciw drugiej stronie"*.

Teraz nic już nie stało na przeszkodzie, by urzeczywistnić dalekosiężny cel polityki niemieckiej od 1918 roku: **„Istnienie Polski jest nie do zniesienia i nie do pogodzenia z interesami Niemiec. Polska musi zginąć".**

O ile cele przyświecające III Rzeszy w zawarciu układu z ZSRR były jasne, o tyle trudniej zrozumieć, dlaczego zgodził się nań Związek Radziecki. Przecież hitleryzm powstał pod hasłem „zniszczenia bolszewizmu", a cele III Rzeszy jasno opisane przez Hitlera w „Mein Kampf" przewidywały zniszczenie Związku Radzieckiego jako ustroju i jako państwa: Niemcy miały szukać „przestrzeni życiowej" na wschodzie.

Ani Stalin, ani Mołotow nie mieli zapewne złudzeń z kim podpisują pakt i dlaczego Niemcy im go zaproponowali. Ale nie mieli wówczas dużego pola manewru. Rząd radziecki był zainteresowany w utworzeniu zwartego i solidarnego frontu antyfaszystowskiego obejmującego ZSRR oraz zagrożone przez hitleryzm państwa: W. Brytanię, Francję oraz Polskę, Rumunię, państwa nadbałtyckie (Litwę, Łotwę, Estonię), ale pod warunkiem, że będzie to front skuteczny. Natomiast nie był zainteresowany w tym, by nagle pozostać sam na sam z Niemcami przy pozorowanych działaniach innych sojuszników (ten scenariusz został, niestety, „sprawdzony" w wojnie polsko-niemieckiej, kiedy to Francja i Anglia nie wywiązały się wobec nas ze swych zobowiązań). Przywódcy radzieccy podejrzewali polityków zachodnio-europejskich o taką intencję. Do tego dochodziła istotna okoliczność: ZSRR nie miał wspólnej granicy z Niemcami. Zatem dla realnego wypełnienia ewentualnego sojuszu jego wojska musiałyby przejść przez terytorium Polski lub Rumunii. Na to państwa te zgody nie wyraziły. Józef Beck, polski Minister Spraw Zagranicznych, 20 sierpnia oświadczył: **„Polski nie wiążą z Sowietami żadne układy wojskowe i rząd polski nie zamierza zawrzeć takiego układu".** Konsekwentnie antyradziecka polityka II Rzeczypospolitej miała przynieść śmiertelne zagrożenie, pozostawić nas w środku Europy samotnymi.

Biorąc to wszystko pod uwagę Związek Radziecki — po to by nie dać się wmontować w samotny konflikt niemiecko-radziecki, by zyskać czas na przygotowanie obrony — zgodził się podpisać układ z III Rzeszą. Jednak wysokości ceny tego rozwiązania, myślę, że do końca nie przewidział.

Logiczną konsekwencją rozumowania politycznego, które stanęło za tą decyzją, było przekroczenie w dniu 17 września 1939 roku granicy radziecko-polskiej przez Armię Czerwoną i zajęcie części terytorium państwa polskiego, zamieszkałej w większości przez ludność ukraińską i białoruską.

Nastąpiło to w sytuacji, gdy Niemcy przełamały obronę polską. Komentując tę decyzję Winston Churchill powiedział, *„to, że rosyjskie armie musiały stanąć na tej linii było jasne i niezbędne ze względu na niebezpieczeństwo grożące Rosji ze strony nazistowskich Niemiec"*.

Ale też prawdą jest, że radzieckim decyzjom politycznym i wojskowym, które można zrozumieć, towarzyszyły oświadczenia polityków budzące nasz głęboki sprzeciw. Premier Mołotow określił państwo polskie jako *„ułomny twór traktatu wersalskiego"* zaś naszą wojnę obronną *„obustronnie imperialistyczną"*. Decyzję z 17 września uzasadniono rzekomym *„bankructwem państwa polskiego i jego rozkładem"*, podczas gdy istniał przecież jeszcze rząd i broniło się 25 dywizji. W stosunku do ludności polskiej na ziemiach zajętych przez Armię Czerwoną zastosowano represje i deportacje. Źródło tych błędów tkwiło w odejściu przez Stalina od leninowskich norm postępowania. Był to tragiczny czas, który przyniósł wielkie szkody ruchowi robotniczemu i zaważył na długo na naszych stosunkach. Jednak trzeba sprawiedliwie powiedzieć, że obecnie surowo rozlicza się w ZSRR błędy owego okresu. Jest to ważny element nowej radzieckiej polityki „głasnosti". Nie ma więc powodu by w myśleniu o tamtych czasach dawać dziś upust niezdrowym sensacjom i emocjom. Trzeba raczej zrobić wszystko by takie błędy — i to po obu stronach — nigdy się już nie mogły zdarzyć.

Polska i Związek Radziecki mają przed sobą długą drogę, którą chcą przebyć wspólnie. Dlatego powinniśmy pozbyć się wszystkiego co uwiera i przeszkadza we wzajemnym zrozumieniu się, poznaniu, przyjaźni, współpracy. Rzetelnie odczytana historia może tylko w tym pomóc.

JAN ORGELBRAND

LECZENIE NIE POLEGA NA LEŻENIU

„Świat Młodych" rozmawia z prof. dr hab. BOŻENĄ HAGER-MAŁECKĄ — lekarką, przewodniczącą Rady Naukowej Centrum Zdrowia Dziecka, dyrektorką Śląskiego Centrum Pediatrii Śląskiej Akademii Medycznej w Zabrzu

— Jak nie najlepszą kondycję naszej pediatrii pogodzić ze stale wzrastającą liczbą szpitali, przychodni specjalistycznych i innych ośrodków?

— To był wzrost oparty na prowizorce. W istocie szpitale dziecięce zaraz po wojnie powstawały jak grzyby po deszczu. Żeby nie umierało co ósme niemowlę w pierwszym roku życia, trzeba było przede wszystkim tworzyć szpitale dla dzieci, żeby było je gdzie leczyć. I tworzono je wszędzie tam, gdzie było to możliwe. Ale nie były to obiekty specjalistyczne. W naszym pierwszym szpitalu mieściła się niegdyś stajnia koni czy coś w tym rodzaju. Na szpitale dziecięce adaptowano dawne sierocińce, domy dziecka. W dawnym województwie katowickim mieliśmy dziewięć szpitali. Jeden z nich znalazł się w 1975 roku w innym województwie, w związku z reformą administracyjną kraju. Pozostało więc osiem. W czterech utworzono kliniki. Ale zdaniem specjalistów — zabrzańska klinika już w 1962 roku nie nadawała się na żaden szpital. Wtedy leżeli tam jeszcze dorośli. Po dwóch latach orzeczono, że można tam leczyć dzieci i obiekt przeznaczony do wyburzenia istnieje już 23 lata. Tak właśnie wygląda szpitalnictwo dziecięce w województwie katowickim. I to wyznacza granicę dalszej poprawy stanu pediatrii.

Baza jest bardziej niż skromna. Niestety. Przez ponad czterdzieści lat Polski Ludowej brakowało w województwie katowickim przynajmniej jednej placówki, która byłaby w stanie pomóc najciężej chorym dzieciom leczonym w ponad czterdziestu oddziałach pediatrycznych województwa. Potrzebna zaś była po to, abyśmy mogli wykonywać na miejscu kompleksowe badania specjalistyczne i w oparciu o nie stawiać właściwą diagnozę. Gdyby i wówczas nasze możliwości okazały się niewystarczające, kierowalibyśmy naszych małych pacjentów do Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie.

— Kiedy powstawało warszawskie Centrum Zdrowia Dziecka, wielu ludziom wydawało się, że wszystkie problemy polskiej pediatrii rozwiąże właśnie ono.

— Brałam udział w tworzeniu tego szpitala. Było rzeczywiście tak, jak pan mówi. Gdy powstało Centrum Zdrowia Dziecka, wszyscy nabrali przekonania, że skoro jest już ten wymarzony szpital, to wszystkie dzieci będą zdrowe. Nic bardziej błędnego. Samo Centrum Zdrowia Dziecka jest jednak placówką, jakiej nie ma w całym świecie. Trafiające doń chore dzieci znajdują tu wszystko, co im niezbędne. Nie zdarzyła się jeszcze taka sytuacja, by zespół specjalistów nie potrafił przynajmniej zdiagnozować małego pacjenta i określić, czy w tym stadium choroby można mu pomóc w kraju, czy też należy leczyć go za granicą.

— Zgodzi się jednak Pani Profesor, że jedno Centrum Zdrowia Dziecka nie jest w stanie rozwiązać niedomagań polskiej pediatrii.

— Oczywiście. Takich centrów powinno być w naszym kraju przynajmniej kilkanaście. Kilkanaście drogich szpitali dziecięcych.

— Myśli Pani Profesor o podobnych do powstałego niedawno Śląskiego Centrum Pediatrii?

— Tak, z tym zastrzeżeniem, że tych kilkanaście placówek nie powinno być tradycyjnymi szpitalami. Mają to być ośrodki, w których czas pobytu dziecka będzie ograniczony do niezbędnego minimum.

U nas to jest podstawową zasadą. Mały pacjent, który przekroczy nasze progi, ma do swojej dyspozycji wszystkich specjalistów. Nie tylko lekarzy. Przechodzi tyle gabinetów, żeby w końcu wiadomo było, czy musi tu leżeć, czy też nie. Najlepsza, najbardziej doświadczona kadra pracuje w poradniach. Nigdzie tak nie jest. Zazwyczaj w poradniach i przychodniach przyklinicznych pracują młodzi, niedoświadczeni lekarze, którzy nie są w stanie postawić właściwej diagnozy, rozstrzygnąć czy rozpoznanie, z którym dziecko do nas przyszło jest trafne, czy nie. Jeżeli wyniki badań kwalifikują pacjenta do hospitalizacji, to staramy się ją ograniczyć do oddziału dziennego.

Moim zdaniem dziecko nie powinno w ogóle leżeć w szpitalu, bo o ile dla starszego człowieka leżenie jest jednocześnie jedną z form leczenia, to dla dziecka jest ono prawdziwą męczarnią. Po kilku godzinach leżenia, kiedy jest złożone wysoką gorączką, wyskakuje z łóżka i biega po szpitalu. Nasze społeczeństwo przyzwyczaiło się do tradycyjnych metod leczenia, a ja robię, co mogę, aby przeorać tę mentalność i wytłumaczyć, że nie chcemy mieć tutaj leżących dzieci. My chcemy mieć takich pacjentów, którzy do nas przychodzą i którym świadczymy „kompleksowe usługi". Mamy nawet i takie przypadki, kiedy leczone przez nas dzieci korzystające z respiratorów przebywają w domach. Wymaga to — rzecz jasna — umiejętności obsługiwania aparatury specjalistycznej przez rodziców.

— Stan polskiej medycyny dziecięcej jest nie najlepszy. Brakuje podstawowych leków, środków opatrunkowych baza lecznicza także pozostawia wiele do życzenia.

— A jednak w moim przekonaniu polska pediatria nie wygląda najgorzej. Opieka nad dzieckiem chorym jest na pewno lepsza aniżeli nad dorosłym. Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. Jest oczywiście wiele słabych punktów, w których trzeba ją poprawić. Tylko trzeba wiedzieć — za co, jak, kiedy i kto to ma zrobić? Osoby, które zajmują się tą problematyką, znakomicie potrafią na te pytania odpowiedzieć. Znacznie trudniej odpowiedzieć, dlaczego — mimo wnikliwej znajomości problemów — nie udaje się ich rozwiązać.

— Symptomem złego stanu polskiej pediatrii jest wysoki stopień śmiertelności niemowląt.

— Muszę przyznać, że w istocie to bardzo czułe miejsce. Światowa Organizacja Zdrowia uznała wskaźnik umieralności niemowląt za wskaźnik ekonomiczny, ponieważ jest on miarą stanu cywilizacyjno-ekonomicznego państwa. Umieralność niemowląt wynosiła w naszym kraju 17,3 na tysiąc żywych urodzeń (w 1986 roku). Lokujemy się na piątym lub szóstym miejscu od końca w Europie. Za nami jest Rumunia, Jugosławia, Portugalia i Węgry, prawdopodobnie Albania. Można więc rzeczywiście wyciągnąć wniosek, że sytuacja jest bardzo niedobra. Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę, że tuż po wojnie umierało w naszym kraju co ósme dziecko, a więc wskaźnik wynosił sto kilkanaście, to przecież, choć pozostawiający wiele do życzenia, stan dzisiejszy świadczy o niemałych dokonaniach naszej służby zdrowia w minionym czterdziestoleciu.

Fot. **Michał Irzyk**

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

SZTUCZNE WIBRACJE PRZECIW TRZĘSIENIOM ZIEMI

ZSRR (PA) Uczeni z Syberyjskiego Oddziału Akademii Nauk ZSRR zwrócili uwagę na pewną osobliwość zjawisk sejsmicznych występujących na wybrzeżu Pacyfiku. Analiza danych z ostatnich 30 lat z radzieckich stacji sejsmicznych nad Pacyfikiem wykazała, że trzęsienia ziemi nigdy nie zdarzają się w czasie sztormów. Sztormowej pogodzie odpowiada sejsmiczna cisza w strefie przybrzeżnej. Zjawiskiem tym zainteresowali się specjaliści z Instytutu Fizyki Ziemi Akademii Nauk ZSRR. Stwierdzono, że silne sztormy powodują drgania skorupy ziemskiej, które powodują występowanie silnych wstrząsów sejsmicznych. Okazuje się, że nawet stosunkowo słabe wibracje mogą zapobiegać groźnym wstrząsom sejsmicznym.

Podjęto badania nad możliwością wykorzystania sztucznych wibracji dla zapobiegania trzęsieniom ziemi. W Związku Radzieckim zorganizowano kilka poligonów badawczych — na Sachalinie, północnym Kaukazie, w Uzbekistanie oraz na Białorusi. Skonstruowano mechaniczne wibratory mogące wytwarzać drgania sięgające 10–20 km w głąb ziemi. Pierwsze eksperymenty ze sztucznymi wibracjami przyniosły interesujące wyniki. Konieczne są jednak dalsze badania w tej dziedzinie.

RATUNEK DLA LASÓW

(PAP). Na uniwersytecie w Moguncji (RFN) opracowano metodę ratowania zagrożonych przemysłowymi wyziewami lasów. Polega ona na wtłoczeniu w poszycie — za pomocą dmuchawy wytwarzającej wysokie ciśnienie — specjalnego nawozu zawierającego węglan wapnia i węglan magnezu. Okazuje się, że pod wpływem tych składników obniża się znacznie kwaśność wyższych warstw gleby i spada (nawet dziesięciokrotnie) zawartość trujących dla roślin związków glinu. Równocześnie wzrasta zawartość wapnia i magnezu w systemie korzennym roślin, co wzmaga ich odporność.

Elektryczny aparat myjący

Nie spotykane dotychczas urządzenie rozpocznie niebawem pracę na międzynarodowym tokijskim lotnisku Narita. Będzie to największy na świecie aparat myjący samoloty. Jego długość wynosi 80 m, szerokość tyleż samo. Wyposażony jest w 8 zrobotyzowanych bloków ze sterowaniem programowym.

Na skonstruowanie takiego agregatu potrzeba było 5 lat. Nowe urządzenie umożliwia znaczne zredukowanie liczby zatrudnionych przy tej pracochłonnej operacji oraz zmniejszy zużycie wody o 15 proc. Dotychczas „kąpiel" szerokokadłubowego samolotu odrzutowego, przeprowadzana przez 20 robotników, trwała przeszło 4 godziny. Elektroniczna myjnia wykona wszystkie czynności w ciągu zaledwie godziny.

ZAKAZ PIANIA DLA... KOGUTÓW

KOPENHAGA (PAP). Koguty z duńskiej wioski Sallingsund nie mają prawa piać w nocy i nad ranem. Zakazała im tego rada gminna po otrzymaniu skarg od mieszkańców. Odtąd właściciele kogutów mają obowiązek trzymania ich w domu do godziny 7.00 jako „legalnej pory piania".

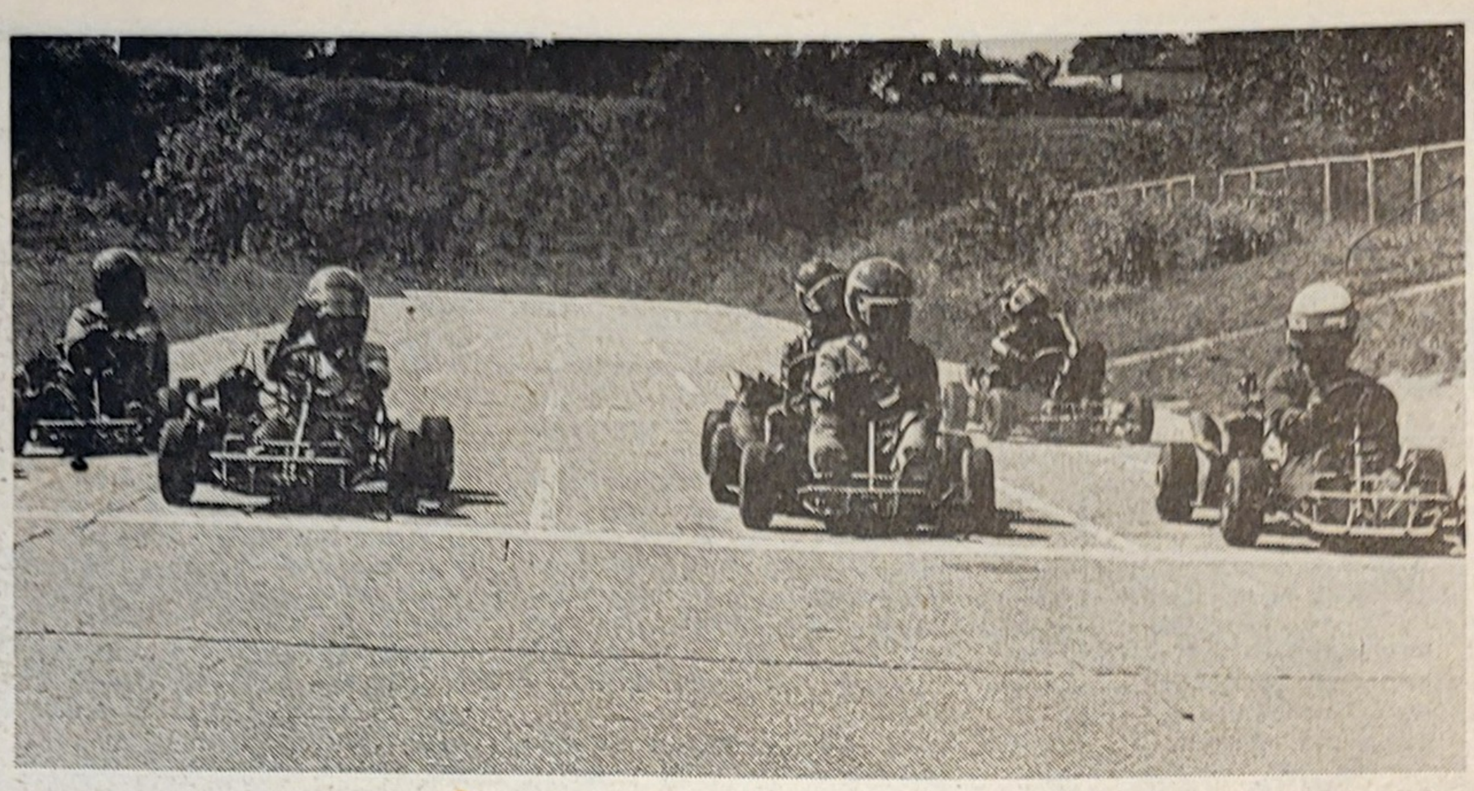

„PRZYJDŹCIE NA TOR..."

To były naprawdę wspaniałe wakacje! Dwudziestu chłopców z łódzkiej sekcji kartingowej przy Młodzieżowym Domu Kultury Łódź-Bałuty trenowało na znakomitym torze w Koszalinie. Jeździli tu i ulepszali swoje pojazdy, w czym dzielnie sekundowali im rodzice.

Tacy chłopcy jak **Paweł Domagalski, Piotr Kowner, Jacek Wiszniewski i Tomek Stokwisz,** z łódzkiej sekcji kartingowej, zdobyli w ubiegłym roku tytuły wicemistrzów Polski. Duża w tym zasługa wspomnianego MDK, Automobilklubu, jak również samych chłopców, którzy mimo nie najlepszych warunków, jakoś sobie radzą.

Łódź, podobnie jak i Warszawa, nie posiada swojego toru, choć, jak mówi dyrektor **Janusz Wasiak**, Przewodniczący Głównej Komisji Kartingowej w Polsce — *„jest nadzieja, że takie tory w naszych największych miastach wreszcie powstaną. Bo przecież mogą one służyć nie tylko kartingowcom, korzystają z nich także motocykliści, rowerzyści, wrotkarze, jak i wszyscy pragnący poznać tajniki sportu samochodowego"*. W Polsce uprawia karting około 2 000 młodych ludzi zrzeszonych w 200 klubach, a torów jest zaledwie kilkanaście.

Jedyny producent kartingów w Polsce — jakim jest Szkoła Samochodowa w Koszalinie — może wyprodukować zaledwie 300 sztuk pojazdów rocznie. Dyrektor Janusz Wasiak, który uprawianie kartingu traktuje jako zabawę, ale o cechach politechnizacji, widziałby ten sport bardziej masowym. Każdemu więc, kto chciałby się podjąć takiej produkcji, chętnie służy dokumentacją i radą.

— *„Przyjdźcie na tor* — mówi dyrektor Wasiak — *a na pewno zostaniecie jego wielbicielami..."*

Dla wszystkich zainteresowanych, którzy by chcieli podjąć się budowy kartingów, podajemy adres: **Zawodowa Szkoła Samochodowa, ul. Gnieźnieńska 3, Koszalin, tel. 228-61.**

A tymczasem popatrzmy na zdjęcia. Kto wie, może któryś z tych chłopców odgadnie tajemnice Laudy i sięgnie po sukcesy podobne do tych, jakie on osiągnął?

Tekst i zdjęcia:
PIOTR JASKOW

Od pomysłu do wodowania

Któż z nas nie zachwycał się sunącymi po falach jezior lub morza barwnymi jachtami? Podziwiając ich sylwetkę, ożaglowanie nie zastanawiamy się, jaką drogę muszą pokonać, nim spłyną na wodę.

Jednym z producentów tego rodzaju jednostek pływających jest Stocznia Jachtowa im. Leonida Teligi w Szczecinie. W niej też remontuje się stare jachty, wykonuje wnętrza i wyposaża jachty stalowe oraz szyje żagle.

Nowe jachty „rodzą się" w głowach pracowników biura konstrukcyjnego. Pomagają im przy tym technolodzy, którzy dbają m.in. by to, co wymyślił konstruktor, było możliwe do wykonania. Projektanci wykonują najpierw *rysunki ofertowe*, na które nanosi się trzy podstawowe rzuty i planują wnętrze nowej jednostki. Jeśli znajdzie się wielu chętnych na taki typ jachtu, powstaje jego *dokumentacja konstrukcyjno-warsztatowa*.

Teraz do mozolnej i ciężkiej pracy mogą przystąpić inni. Ich pierwszym zadaniem jest *wykonanie „kopyta"*,

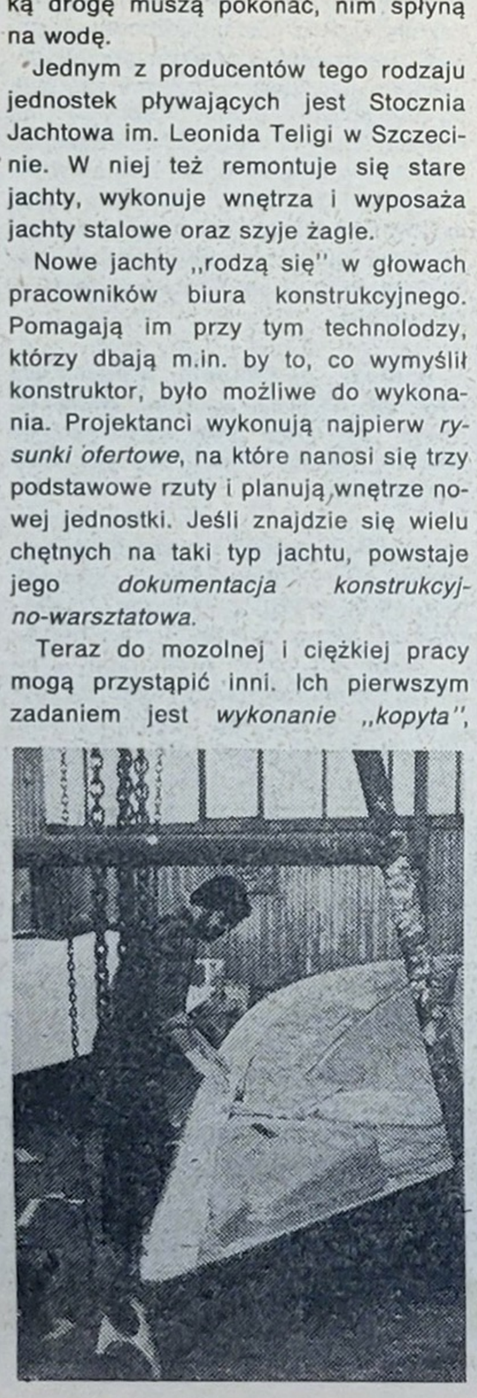

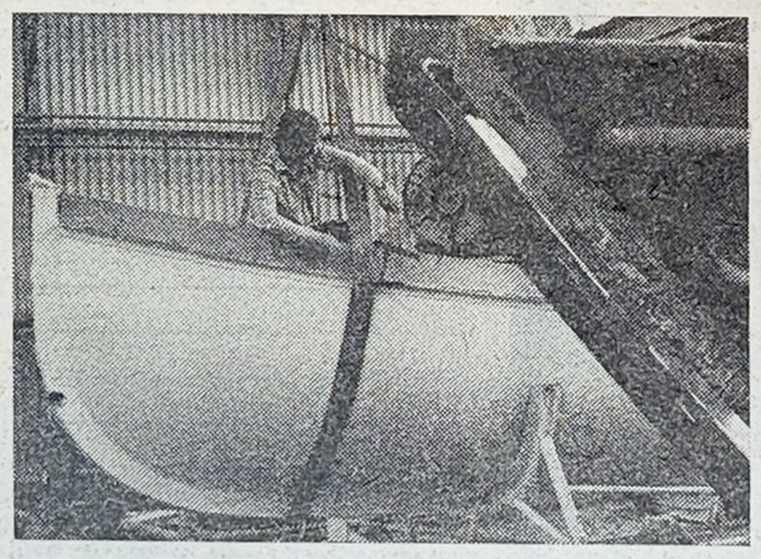

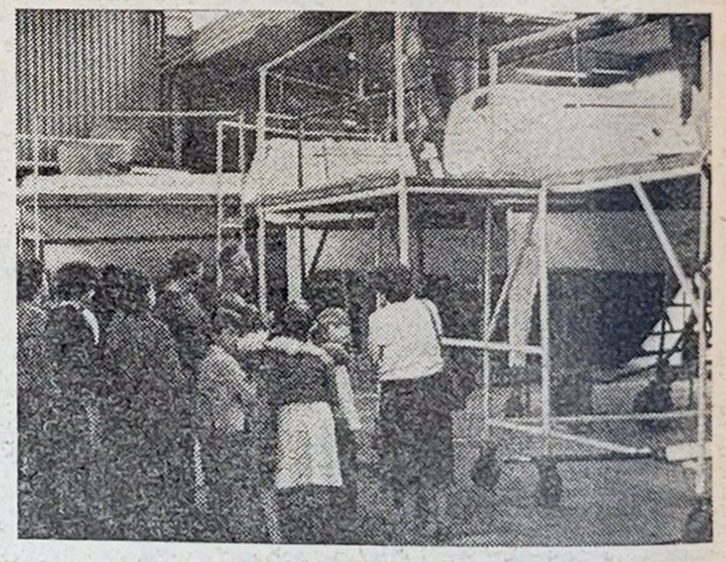

czyli bryły jachtu zbudowanej z żeber i pokrytej kilkoma warstwami specjalnie przygotowanej sklejki (tzw. *obłóg*). Na idealnie gładką powierzchnię kopyta nakłada się laminat poliestrowo-szklany, z którego powstaje forma jachtu.

W formach, pokrytych specjalną warstwą rozdzielającą, odbywa się laminowanie skorup kadłuba i pokładu. Polega to na przesycaniu żywicą odpowiedniej ilości (największej na dnie jachtu) warstw mat i tkaniny z włókna szklanego. Następnie pracownik, zwany *laminarzem*, musi z każdej z takich warstw wycisnąć za pomocą wałka maksymalną ilość powietrza, by konstrukcja jachtu była wytrzymała i elastyczna.

Po wyjęciu kadłuba z formy i ułożeniu go na specjalnych saniach, przykręca się *kil*. Obie skorupy, kadłub i pokład, wędrują teraz do *hali wyposażeniowej*. Tutaj wewnątrz kadłuba montuje się *grodzie*, *koje*, zabudowuje się *kambuz* i *kabinę nawigacyjną* oraz inne elementy niezbędne podczas żeglugi. Wszystko to przykrywa się pokładem i razem skręca, a część podwodną zamalowuje się farbą chroniącą przed obrastaniem przez porosty. Już po zwodowaniu instaluje się aluminiowy

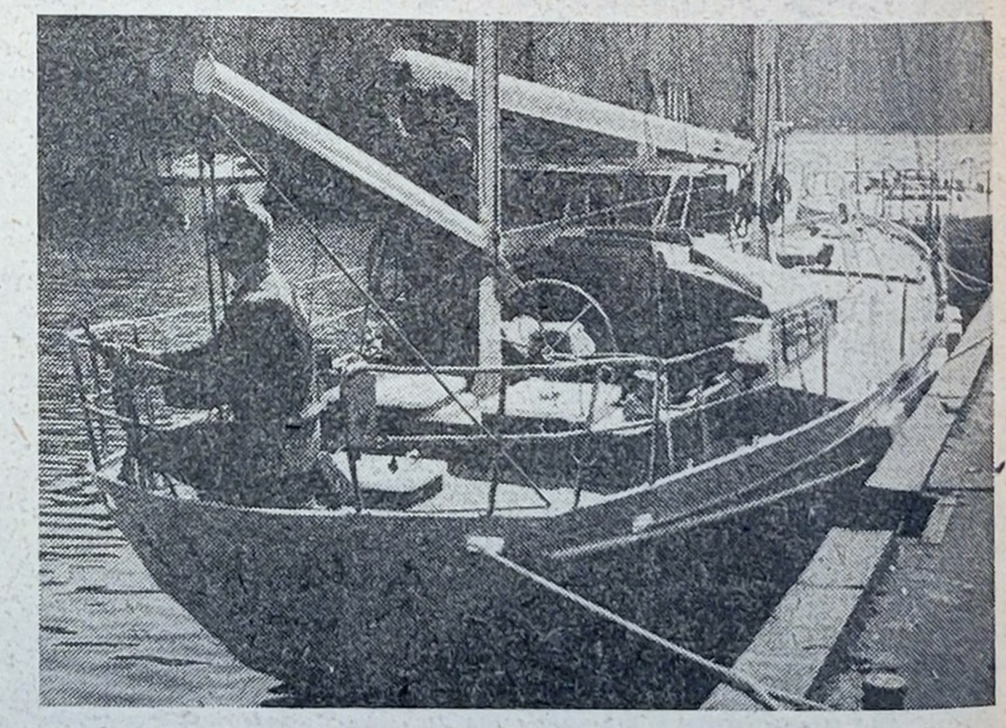

maszt i wyposaża jacht w żagle oraz sprzęt ratunkowy.

Stocznia szczecińska produkuje jachty regatowe: „Opty-136" i „Opty-71A" oraz turystyczne typu: „Carter-30" i „Opty-136C". Ostatnim wytworem stoczni jest rewelacyjny i nowoczesny, zdaniem producentów, jacht „Opty-104R". Z cyfr przy nazwach typów odczytać można długość jachtu mierzoną w decymetrach, na przykład „Opty-136" ma długość 13,6 m.

MARZENNA GŁUCHOWSKA

PUUKKO ZNACZY FINKA

Zaproszenie przyszło do Głównej Kwatery ZHP. Krótkie, lakoniczne, ale ze wszystkimi najważniejszymi informacjami. Otóż pionierski miesięcznik „PIONEERITOVERI" czyli Pionier-Towarzysz, postanowił od 26 lipca do 1 sierpnia zorganizować obóz międzynarodowy. Na małej wyspie, oddalonej o 45 minut drogi łodzią motorową od miasta Uusikaupunki, na południowo-zachodnim wybrzeżu Finlandii. Identyczne zaproszenia wysłano również do pionierów z pozostałych krajów nadbałtyckich: Szwecji, Danii, RFN, NRD i ZSRR. Takie właśnie kraje, bo obóz miał się odbywać pod hasłem **„Bałtyk — morzem pokoju"**. Kilka słów o programie i pogodzie, z ostrzeżeniem, że lato na wybrzeżu bywa zazwyczaj chłodne.

Wypadło akurat na nas — czwórkę bardziej lub mniej zaawansowanych wiekiem i stażem harcersko-dziennikarskim korespondentów HSI „Świata Młodych".

OBOZOWISKO NA WYSPIE

Iso-Haidus, bo tak właśnie nazywa się owa wyspa, nie jest zbyt duża. Opłynięcie jej w 8-wiosłowej łodzi, nawet niedoświadczonej załodze zabiera ok. 40–50 minut. Prócz wspaniałego lasu i skał, zarówno znajdujących się w środowisku, jak i przy zejściach do morza, „naszą ziemię" pokrywają jeszcze nieliczne budynki. Jeden dom murowano-drewniany, w którym m.in. znajduje się kuchnia, wielka stodoła przemieniona w świetlicę, szopa na rozmaity sprzęt i narzędzia, trzy wiaty przeznaczone na stołówki i naturalnie — w końcu jesteśmy w Finlandii — sauna (podobno jest ich tam więcej niż samochodów), i na koniec coś, co zawsze jest ogromnie wstydliwym problemem w Polsce — dziewięć drewnianych kibelków: czyściutkich, z kilkoma rolkami papieru toaletowego i proszkiem do dezynfekcji w środku.

Przyjechało około 90 osób, zabrakło pionierów z RFN i Danii, reszta dopisała. Finowie byli z czterech miast: Helsinek, Kotki, Turku i Tampere. Wszyscy w wieku 12–15 lat. Kilkanaście osób starszych w charakterze instruktorów, kucharzy, „wilków morskich" i dziennikarzy. Wszyscy dobrzy znajomi — przyjaciele — jak mi często mówiono, gdy pytałem, czy dostają jakieś wynagrodzenie. „Nasi przyjaciele — po prostu nam pomagają".

Całość podzielona została na dwa mniejsze biwaki, jednak program i wszystkie zajęcia były wspólne. Oprócz wzajemnego poznawania się, zawiązywania trwałych przyjaźni, zainteresowania problemami krajów walczących o wolność, przewidziano także czas na typowo morskie zajęcia. Jednym z głównych celów było m.in. nauczenie samodzielności i zaradności w wyspiarsko-marynarskim życiu.

Już od pierwszego dnia, kiedy to urządzaliśmy swoje obozowisko, okazało się, że ta samodzielność jest wśród pionierów trochę inaczej pojmowana. Faktem jest, że ich obozy nie trwają dłużej niż 7–10 dni i lwią część roboty wykonują owi przyjaciele jeszcze przed przybyciem dzieci, ale... No właśnie, do samych pionierów należało tylko rozstawianie namiotów! Potem, już pod koniec, dowiedziałem się, że późno w nocy lub bladym świtem starsze dziewczęta obierały ziemniaki. W rezultacie w każdej wolnej chwili przysypiały. Jakże mogłem im zatem nie powiedzieć o znakomitym rozwiązaniu harcerzy — kwadransie gospodarczym?! Być może na następnym obozie skorzystają.

Namioty malutkie, 4–5 osobowe, bez jakichkolwiek urządzeń w środku. Dla każdego karimata (cienki materac — bardzo wygodny, bo lekki i praktyczny), śpiwór; rzeczy trzymane są w plecaku. Po obejrzeniu zdjęć z naszych obozów i rysunków z różnymi modelami harcerskich „mebli", zachwycony komendant biwaku obiecał robić coś takiego u siebie w przyszłości.

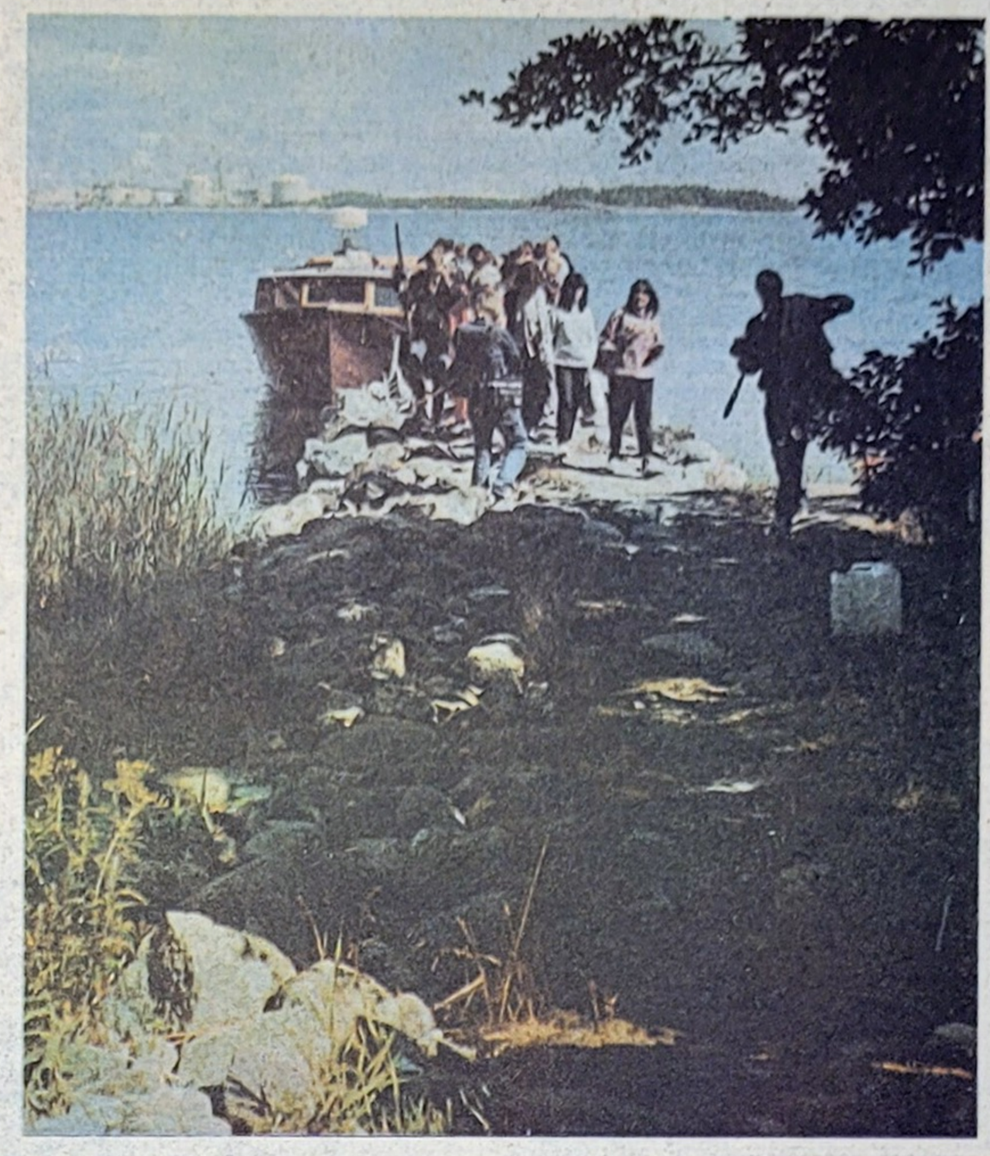

Nasza droga na świat — przystań i zacumowana przy niej łódź „Kihi". Bliskie sąsiedztwo widocznej w głębi fabryki chemicznej w niczym nam nie przeszkadzało

Przyczyna, dla której pionierskie obozy są tak krótkie, jest prozaiczna — niewielkie fundusze. Dotacje państwa są minimalne, a wpłaty rodziców też nie mogą być duże — nie należą oni do ludzi bogatych. Rodzice kilkorga z naszych znajomych nie mają żadnej stałej pracy. Chwytają się różnych zajęć lub żyją z zasiłków. A własne pieniądze organizacji uzyskiwane z rozmaitych bazarów i giełd pionierzy wysyłają za granicę dla głodujących i bezdomnych. Skąd w takim razie je biorą?

Na kilka miesięcy przed wakacjami na łamach swojego pisma ogłaszają społeczną zbiórkę funduszy na letnie obozy. Resztę, co trzeba, wykładają ze swojej kieszeni owi przyjaciele i instruktorzy (oddają też do dyspozycji swój sprzęt i wolny czas). Nie jest tego dużo, akurat na tydzień wystarcza.

PRZY KOMINKU

Bardzo ważne na obozie było wzajemne bratanie się wszystkich delegacji, poznawanie krajów, organizacji, codziennych domowych czy szkolnych zajęć. Zazwyczaj poświęcone temu były spotkania w naszej świetlicy, połączone z projekcjami slajdów, przeplatane piosenkami i zabawami. Każda delegacja miała kilka okazji, aby wszechstronnie się zaprezentować. Dzień kończył się kominkiem na tarasie sauny (kominek autentyczny) lub ogniskiem na skałach nad brzegiem morza (wrażenia niezapomniane!).

Nie miały one wiele wspólnego z tradycyjnymi ogniskami harcerskimi. U fińskich pionierów ten wieczorny czas jest czasem wesołej zabawy i śpiewu. Wszystko na wesoło, dużo dowcipów, wesołych opowieści i skeczy, bardzo dużo luzu i swobody. Momentami aż za dużo i wtedy fińscy instruktorzy narzekali na brak dyscypliny u swoich podopiecznych. Ale nikt nie miał najmniejszego zamiaru używać gwizdka czy podniesionego głosu. Łagodne zwrócenie uwagi, a jeśli nie skutkowało ... to tylko życzenie, aby nic złego się nie stało. Instruktor bowiem ufa swojemu podwładnemu.

WSZYSCY MÓWIĄ SOBIE PO IMIENIU

Nawet najmłodsi z najstarszymi. Nie ma żadnego skrępowania i zwyczaju, że gdzie „starsi" siedzą, tam młodziak dostępu nie ma. Wszyscy są wobec siebie równi. W harcerstwie jest tyle słów o braterstwie i przyjaźni, a jakże często instruktor jest dla małego harcerza zupełnie nieosiągalnym obiektem (no, niezupełnie, bo przecież jest... „drogą służbową").

Jednego dnia urządzono nam bieg pionierski. Podzieleni na małe patrole ruszyliśmy w głąb wyspy za strzałkami lub znakami na drzewach. W Polsce takie gry mają zazwyczaj historyczną oprawę, tutaj jak najbardziej współczesną: wojna w Nikaragui. Mieliśmy iść przez teren zajęty przez „contras", a nasze zadanie to dostarczenie pomocy oddziałom sandinowskim. Po drodze przeprawa przez „rzekę" po linie, przenoszenie żywności i lekarstw w ciężkich warunkach (pod pachami dwie piłki i przejście po długim zwalonym drzewie). Marsz na przełaj na azymut i kilka punktów, na których trzeba było odpowiedzieć na parę pytań. O rewolucji w Nikaragui, o patronach organizacji pionierskich w innych krajach itp. Dla tych, co uczestniczyli w takim biegu pierwszy raz, m.in. dla nas, pamiątkowe dyplomy.

Na koniec o tytułowej fince. Gdy zbliżał się już czas odjazdu, ostatniego wieczora nasi przyjaciele z biwaku obdarowali nas różnymi prezentami, a ja, jako szef delegacji dostałem od komendanta najprawdziwszą lapońską finkę. Z drewnianą rękojeścią, grawerowanym ostrzem w skórzanej, zdobionej pochwie. Długo się nie namyślając pędzę do namiotu i przynoszę dla mego Fina... swoją wysłużoną już, ale wciąż piękną czapkę harcerską. Ku wielkiej naszej radości nie rozstał się już z nią do samego odjazdu. A puukko przypłynęła do Polski.

PIOTR JAWORSKI

Każdego dnia, każdy biwak miał swego dyżurnego. Siła jego autorytetu to czerwona furażerka i gwizdek. Gdy wypadło na naszą Ulę, dobrze wiedziała jak z tego skorzystać

Obiad. Wydawanie posiłków to jedna z nielicznych obozowych prac pionierów

Fot. **Piotr Jaworski**

ŚWIAT NA DWÓCH KÓŁKACH

Zgodnie z obietnicą, prezentuję w dzisiejszym odcinku naszego kącika artykuł napisany przez dziennikarza motoryzacyjnego z Austrii — Petera Homolę

KONIEC JEDNEJ Z LEGEND

Kolejna ofiara kryzysu przemysłu motocyklowego w Europie wytwórnia Steyer-Daimler-Puch, producent popularnych przede wszystkim w Europie Środkowej mopedów Puch, sprzedał swoją bogatą w tradycje produkcję włoskiej firmie Piaggio.

Produkcja rowerów i motocykli w firmie Steyer-Daimler-Puch była już od wielu lat deficytowa, przynosząc co roku milionowe straty. Zgodnie z oświadczeniem przewodniczącego spółki akcyjnej Steyer-Daimler-Puch Jürgena Stockmara produkcja pojazdów jednośladowych w ostatnich 10 latach przyniosła całemu koncernowi straty rzędu 3 miliardów szylingów austriackich.

Doprowadziło to do tego, że kierownictwo firmy musiało podjąć decyzję o jej sprzedaży. Początkowo próbowano sięgnąć po tzw. „austriackie rozwiązanie" — jednak konsorcjum złożone ze Schweizerische Bankverein, szwajcarskiego importera Puch-Freya, austriackiego sprzedawcy Puch — Thallingera, z holenderskiej firmy Acquipment i z drugiego producenta mopedów i motocykli w Austrii — KTM, po długich rozważaniach zrezygnowało z rozmów. Podstawą tej decyzji było studium amerykańskiej firmy doradczej Kearney, która oceniła szanse sprzedaży mopedów Puch na przyszłość jako niewielkie. Według tego studium Puch mógłby rocznie sprzedawać maksymalnie 45 tys. sztuk mopedów. Aby jednak produkcja była rentowna, roczna sprzedaż musi wynosić około 70 tys. sztuk.

W wyniku powyższego sprzedano produkcję firmie Piaggio. Producent ten wytwarzający między innymi popularne Vespy kupił prawa do używania nazwy Puch i prawa do produkcji za około 100 milionów austriackich szylingów.

Sprzedaż ta kończy trwającą 85 lat tradycję budowy austriackich mopedów i motocykli Puch. Przedsiębiorstwo założone w Graz w 1850 roku, pierwszy swój motocykl wyprodukowało w 1903 roku. Był to typ A jednocylindrowy, czterosuw o pojemności 254 cm sześc.

Od lat 20. Puch słynął przede wszystkim z produkcji silników dwusuwowych. W roku 1928 połączył się z wiedeńską firmą Austro-Daimler. Sześć lat potem Austro-Daimler-Puch połączył się z firmą Steyer. Odtąd oficjalna nazwa firmy brzmi Steyer-Daimler-Puch.

Po wojnie znaczne sukcesy osiągnięto w produkcji różnorodnych 125-tek, 175-tek i 250-tek. W latach 50. na rynek weszły pierwsze skutery o pojemności 125 cm sześc. i pierwsze mopedy o pojemności 50 cm sześc. Mopedy PUCH MAXI (50 cm sześc.) produkowane od roku 1969 stanowią do dziś podstawowy produkt wytwórni.

Firma Puch należała do tych wytwórni, które wprowadzały wiele nowych rozwiązań w wytwarzanych przez siebie produktach. W roku 1984 Puch-Design-Centr z Grazu przedstawił przyszłościowe studium motocykla TEST-1 z aluminiową ramą i czterosuwowym, rzędowym silnikiem, które to rozwiązanie cieszyło się dużym zainteresowaniem jeszcze w 1986 roku. W czerwcu 1986 roku przestawiono pierwszy moped z katalizatorem, a we wrześniu 1986 roku nowy silnik z bardzo nowoczesnymi rozwiązaniami technicznymi.

Puch zaangażowany był również na rynkach zagranicznych. W hiszpańskim mieście Gijon — Puch i Suzuki produkują wspólnie małe motocykle i skutery o pojemnościach 50 i 80 cm sześc. W 1986 sprzedano licencję na moped Puch indyjskiej firmie Majestic Auto Limited z siedzibą w Ludhiana (stan Pundjab).

Przejęcie produkcji Puch przez włoską firmę Piaggio ma następować stopniowo. Produkcja mopedów w Grazu ustała w czerwcu 1987 roku. Do 1989 roku Puch będzie montował silniki dla Piaggio. Biuro inżynierów Pucha będzie się nadal zajmowało pracami nad rozwojem nowoczesnych silników. Piaggio będzie nadal posługiwało się nazwą Puch i wiąże z tą znaną marką nadzieje na rozwinięcie swojej sieci eksportowej.

Z 680 osób zatrudnionych przy produkcji mopedów i rowerów, 120 będzie nadal pracowało przy produkcji silników dla Piaggio, 160 pracowników zostanie przeniesionych do produkcji pojazdów terenowych Puch Pinzgauer. Przy dobrej koniunkturze (zamówieniach) dalszych 100 pracowników może być zatrudnionych przy produkcji pojazdów terenowych. Dla pozostałych 300 zatrudnionych przejęcie produkcji przez firmę Piaggio oznacza zwolnienie z pracy.

Peter Homola
Austria

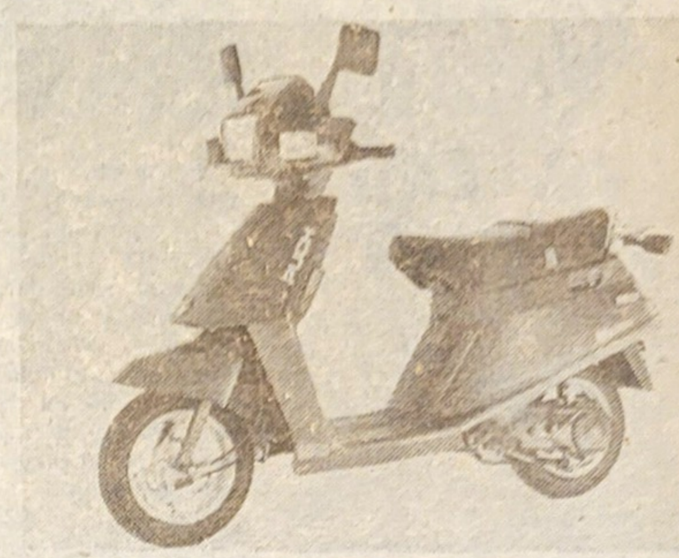

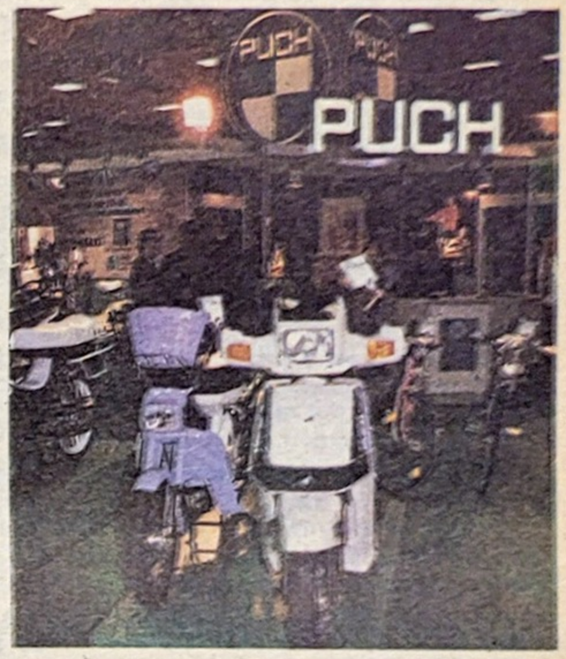

22

ENCYKLOPEDIA ZIELONEJ SZKOŁY

ZBIERAMY KUKURYDZĘ I ROBIMY JESIENNE PORZĄDKI W OGRÓDKU

Kukurydzę cukrową zbieramy stopniowo w miarę dorastania kolb. Zbiór zaczyna się od połowy sierpnia lecz może trwać do końca września jeśli uprawiane są odmiany o zróżnicowanej długości wegetacji. Kolby zrywamy, gdy nasiona są w pełni wyrośnięte, lecz miękkie, dające się zgnieść palcami. Kolby na roślinie nie dojrzewają równocześnie. Najszybciej dojrzewają kolby najbardziej dorodne i te trzeba wyłamać w pierwszej kolejności.

Kukurydzę pękającą zbieramy nie wcześniej jak po połowie września, gdy ziarno całkowicie dojrzeje, zrobi się twarde i szkliste. Liście okrywające kolby stają się wtedy wyblakłe, bibułkowate i suche. Kiedy kolby dojrzeją nie należy ich przetrzymywać zbyt długo w ogródku bo wkrótce staną się żerem ptaków. **Nie można także zbierać ziaren nie dojrzałych, bo pękać nie będą!** Po wyłamaniu kolb ściągamy do góry liście okrywające kolby i wiążemy je razem lub splatamy w warkocze. Tak przywiązaną kukurydzę można powiesić w przewiewnym miejscu aby doschła. Dosuszanie trwa kilka tygodni. Po wysuszeniu można ziarno wykruszyć.

Teraz czas na prażenie ziarna. Bierzemy głęboki rondel lub patelnię, rozprowadzamy po dnie nieco oleju jadalnego, lecz nie więcej jak w warstwie 2–3 mm i podgrzewamy go do temperatury wrzenia, to znaczy do 250–300°C. Następnie **sypiemy kukurydzę w takiej ilości, aby ziarno zmieściło się w jednej warstwie.** Rondel zakrywamy pokrywką. Wszyscy zatykają uszy i czekają z zapartym tchem. Wkrótce rozlega się głośna kanonada. Ziarno pęka z hukiem, powiększając swoją objętość co najmniej 20-krotnie i stara się wydostać z rondla. Pękanie spowodowane jest przez uwięzioną wodę zawartą między drobinkami skrobi, która to woda gwałtownie paruje i rozsadza ziarno. Po uprażeniu kukurydzę przesypujemy do innego naczynia, by się nie przypaliła i solimy do smaku.

★ ★ ★

Po zebraniu plonu zagonki trzeba uporządkować. Suche badyle można złożyć na kompost, lecz tylko wtedy gdy nie ma na nich nasion chwastów. Inaczej nasiona przedostaną się do kompostu, **gdzie mogą zachować zdolność do kiełkowania przez wiele lat.** Chwasty z nasionami lepiej jest spalić. Zagonki trzeba koniecznie przekopać, aby umożliwić wykiełkowanie tych nasion chwastów, które już upadły na ziemię. Po wykiełkowaniu chwastów, gdy mają one zaledwie parę listków, niszczymy je motyczką lub grabimy. Po takim zabiegu gleba pozostaje czysta aż do wiosny.

Jeśli zbieramy plon wcześnie, w lipcu lub w sierpniu, to zagonek nie powinien leżeć odłogiem aż do zimy. Trzeba koniecznie wysiać plon drugi — rzodkiewkę, rzodkiew, sałatę, szpinak lub inne rośliny o krótkim okresie wegetacji. Można też wykorzystać czas jesienny do uprawy roślin na nawóz zielony. W tym celu wysiewamy takie rośliny jak gorczyca, facelia, peluszka, wyka, łubin lub gotowe mieszanki roślin motylkowych. Nasiona dostaniemy w sklepach ogrodniczych lub na targowisku. Na 100 m² powierzchni potrzeba 1–2 kg nasion grubonasiennych roślin motylkowych lub 0,5 kg gorczycy lub facelii. Po wyrośnięciu tych roślin przekopujemy je do ziemi przed zimą dzięki temu gleba wzbogaca się w próchnicę i w azot. Jesienią warto także uzupełnić składniki mineralne i doprowadzić odczyn gleby do odpowiedniego poziomu. Duża dawka materii organicznej jest bardzo wskazana. Do tego celu można użyć obornika, torfu lub kompostu z kory. Ponieważ obornik i torf są materiałami drogimi warto sięgnąć po kompost z kory, który można otrzymać za znikomą opłatą w nadleśnictwach, tartakach i wytwórniach celulozy. Na 100 m² można dać od 500 do 1000 kg materii organicznej.

Nasze gleby są na ogół kwaśne, ubogie w wapń i składniki mineralne. Dlatego obok nawożenia organicznego trzeba wnieść do gleby także nawozy mineralne. Odczyn gleby powinien być słabo kwaśny w granicach pH 5,6–6,8. Torf i kora gleby zakwasza, natomiast obornik i kompost odkwaszają. Przy nawożeniu korą lub torfem trzeba rozsypać około 20 kg wapna na 100 m² powierzchni, natomiast przy nawożeniu innymi nawozami organicznymi wystarczy około 10 kg na 100 m². Gleb wapiennych, marglowych nawozić wapniem nie trzeba.

Aby wzbogacić glebę w pozostałe składniki mineralne konieczne dla wzrostu roślin: azot, potas, fosfor, magnez, żelazo, miedź, cynk, bor i molibden trzeba rozsiać gotowe mieszanki nawozów ogrodniczych „Fruktus", „Mikro", „Flora", „Azofoska" lub inne. Mieszanki te wysiewamy w dawce 5–10 kg na 100 m² przed posadzeniem jakichkolwiek roślin trwałych.

AUGUSTYN MIKA

Zielona poczta

Co tydzień przychodzi kilka listów z zapytaniem jak pielęgnować rośliny cytrusowe. Odpowiadam więc raz jeszcze.

Pielęgnowanie roślin cytrusowych nie różni się znacznie od pielęgnowania innych roślin pokojowych. W naturze rośliny cytrusowe zimują w temperaturze od 5 do 15°C, przy obfitym nasłonecznieniu. Dlatego teraz, przed zimą warto je umieścić w niedogrzanym pomieszczeniu lub na oknie gdzie ciągnie zimne powietrze. Póki nie ma mrozów mogą stać na balkonie lub w oszklonej werandzie. Kto mieszka w bloku i ma przez całą zimę dobrze ogrzane mieszkanie z grzejnikami pod oknem musi się liczyć z tym, że cytrusowe mogą zrzucać liście z nadmiaru ciepłego, a zarazem suchego powietrza i niedostatku światła. Jeśli rośliny stoją w chłodzie to podlewanie zimą powinno być skąpe. Jeśli w pomieszczeniu dobrze ogrzanym, to podlewać trzeba obficie, bo ziemia szybko wysycha. W tych warunkach często pojawiają się na liściach przędziorki i tarczniki. Trzeba liście oglądać, w razie pojawienia się szkodników przemywać je wodą z niewielkim dodatkiem płynu do mycia naczyń.

Raz do roku, na wiosnę trzeba cytryny przesadzić do doniczki o średnicy 1 cm większej niż poprzednia. Wiosną i latem trzeba podlewać obficie i zasilać rośliny roztworem nawozu Florovit. Od czerwca do września rośliny nie powinny stać w najbardziej nasłonecznionych oknach, lecz trochę w półcieniu, a najlepiej na balkonie lub w ogrodzie.

(a.m.)

LECZENIE NIE POLEGA NA LEŻENIU

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

— ***Czym dysponuje Centrum?***

— Znakomicie wyszkoloną kadrą i nowoczesnymi, jak na nasze warunki, laboratoriami i gabinetami specjalistycznymi. Otworzyliśmy oddział chirurgiczny. Teraz nawet neurochirurdzy przyjeżdżają do nas do Zabrza. Urologów mamy przez podwórko, kardiologów wzywamy z kliniki kierowanej przez doc. Zbigniewa Religę. Niedawno otrzymaliśmy w darze trzy sztuczne nerki, ale mamy problemy z płynami infuzyjnymi, bez których aparatura jest praktycznie bezużyteczna. W ogóle wszystko, co tutaj mamy, pochodzi z darowizn. Niektóre rzeczy wydzierałam siłą, a gdy i to nie pomagało, uciekałam się do „żebraniny".

Najważniejszą jednak sprawą jest oddział dzienny. Pacjent przychodzi rano i po odpowiednich badaniach otrzymuje np. transfuzję, następnie zostaje poddany punkcji i kolejnym badaniom specjalistycznym, wymagającym kilkugodzinnego leżenia. Odbywa się to w ten sposób, że dziecko leży w łóżku, matka trzyma je za rączkę, a w tym samym czasie wykonuje się zabiegi. Następnie matka lub ojciec zabiera naszego pacjenta do domu, po czym za kilka dni przyprowadza go do nas z powrotem i wtedy orzekamy, czy zatrzymujemy go na kilka dni, czy też będziemy leczyli go w domu.

Mamy także oddział opieki nad dziećmi z zaburzeniami umysłowymi — 25 małych pacjentów, którzy przebywają u nas każdego dnia w pięcioosobowych grupach. Na miejscu pracują z nimi specjaliści — nauczyciele, logopedzi, rehabilitanci ruchowi, fizykoterapeuci, psycholodzy i przede wszystkim zespół pediatrów, który orzeka, czy można wykonywać dane zabiegi. Wszyscy ci ludzie układają również program dla rodziców określający sposób postępowania z dzieckiem w domu aż do następnej wizyty u nas.

Otrzymaliśmy również hematologię — oddział, na którym leczymy dzieci z chorobami nowotworowymi układu krwiotwórczego, najczęściej z białaczką. Być może, z czasem uda nam się doprowadzić do takiej sytuacji, że i my będziemy mogli przeszczepiać szpik kostny, podobnie jak to robią specjaliści w Centrum Zdrowia Dziecka.

— ***To prawdziwa reforma w pediatrii.***

— O ile w ubiegłym roku przyjmowałam do kliniki 2 tysięce dzieci, to dzięki koncepcji Centrum przyjęłam tyle samo tylko w I kwartale bieżącego roku, a zatem czterokrotnie zwiększyła się liczba przyjmowanych pacjentów. W ubiegłym roku średni pobyt dziecka trwał około 14 dni, dzisiaj — około 7 dni. Sądzę, że jeśli pójdzie tak dalej, uda nam się wreszcie uczynić wyłom w mentalności naszego społeczeństwa, przekonać, że leczenie nie polega na leżeniu.

— ***Dziękuję za rozmowę.***

Rozmawiał

KAZIMIERZ KRZYŚKÓW

Autorką mego portretu jest **Dorota Michalska**, którą zapisuję do Rzepklubu.

Redaguje WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

Cześć!

Bardzo mnie ucieszył list Pawła (nazwisko i adres znam), który pisze:

Rzepie! Mam zmartwienie. Mój tato pali papierosy. Razem z mamą próbowaliśmy jakoś z tym walczyć, ale bez skutku. Wreszcie wpadłem na pomysł: w każdy czwartek wycinałem z Twojego kącika odstraszające opakowania i naklejałem tatowi na papierosy. Z początku tato zlekceważył moją akcję ale jak nakleiłem „papierosy MOGIŁA" — ograniczył palenie! Teraz pali znacznie mniej. Sprawił to Twój konkurs, Rzepie. Pozdrawiam Cię!

Paweł

I ja pozdrawiam Cię Pawle! Wpadłeś na bardzo dobry pomysł! Sposób z naklejaniem naszych projektów na opakowania prawdziwych papierosów polecam gorąco wszystkim, którzy mają palących domowników.

KSIĘGA REKORDÓW RZEPKLUBU

Magda Matysik przysłała mi dmuchawca o długości 94 cm.

Ola Derejczyk przysłała kwiatostan babki zwyczajnej o długości 58 cm.

*

ANEGDOTKI NADESŁANE

— Niech pani sobie wyobrazi, wczoraj zapłaciłam mandat!

— Za co?

— Za przekroczenie sześćdziesiątki.

— Ależ, niech pani się nie martwi. Wygląda pani najwyżej na jakieś czterdzieści...

*

— Uważaj, żebyś nie zabrudził obrusa, Piotrusiu! Babcia go wyprała i wyprasowała, a trzeba przecież szanować cudzą pracę!

— Ale przecież babcia nie jest cudza, tylko nasza!

Anegdotki wyszperał **Krzysztof Kołodziejczyk**, którego zapisuję do Rzepklubu.

Do zobaczenia!

Wasz **Rzep**

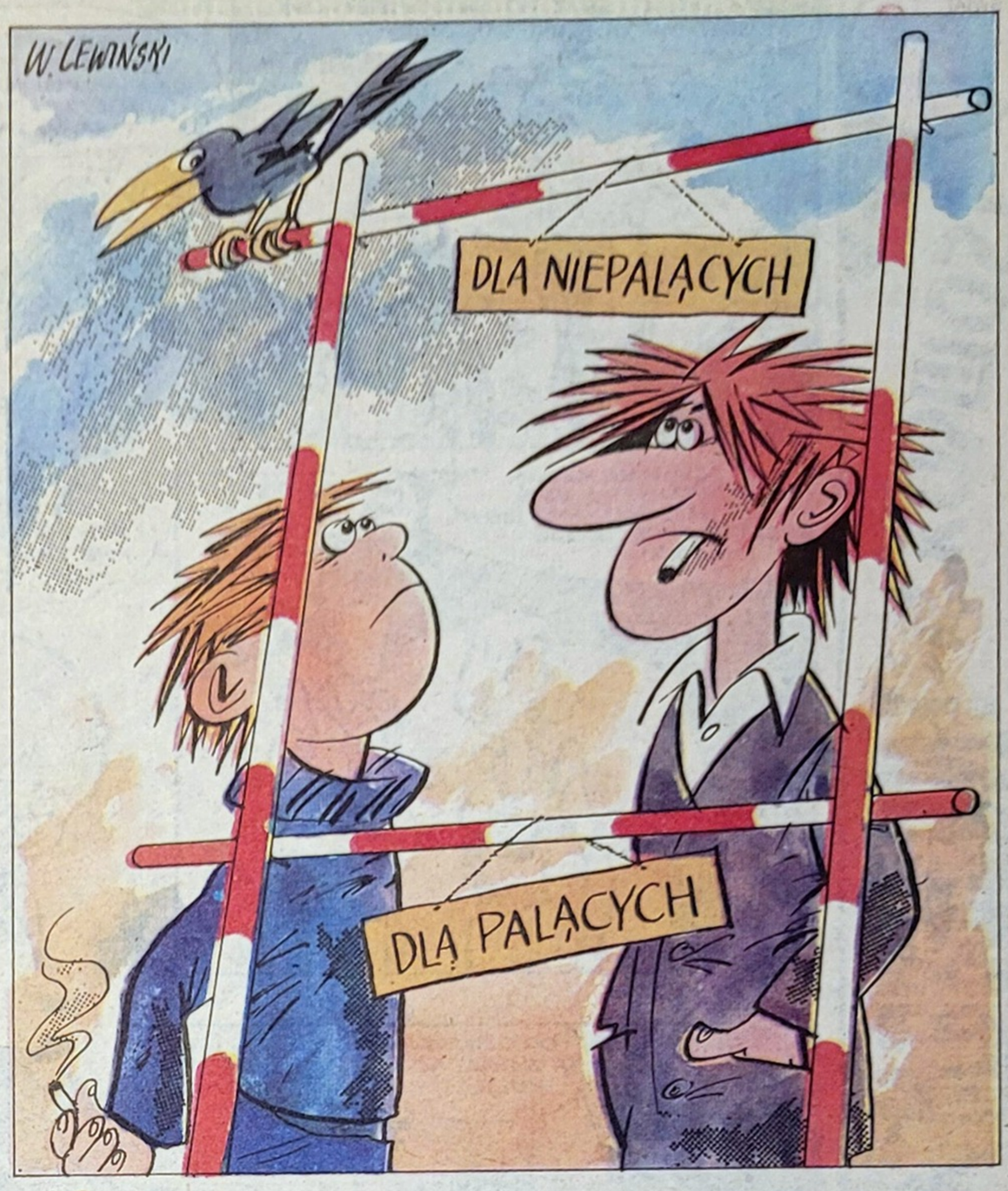

RZEPKLUB

Żarty wyszperali: **Elżbieta i Marceli Monkiewiczowie, Krzysztof Janik, Sebastian Wiczling.** Wszystkich zapisuję do klubu.

przyjmować wszelkie starania o swoją osobę, dać się niańczyć, częstować i zabawiać. Atmosfera była miła, prawdziwie rodzinna i niezręcznie byłoby ją popsuć jakimiś niezręcznymi pytaniami. Pod koniec obiadu poza tym pojawiła się nieco zdyszana Konstancja, zawiadamiając, że załatwiła wszystko i w szpitalu i w hotelu, dokąd zawiozła walizkę Lucynki, że zapytała doktora Gucia o ojca Lucynki, który jest w Poznaniu, ale przyjeżdża pojutrze, że ten chłopak, który prowadził wóz nie jest niczemu winien, ale biedaka ma się za winnego i z tą nogą nie jest dobrze i że ona, Konstancja może robić wszystko co trzeba, niech tylko powiedzą co.

Była to dość długa przemowa i mogłaby być jeszcze dłuższa, gdyby nie zdecydowany protest Adasia młodszego. Obudził się i usiadł gwałtownie, mocno zaciskając zamknięte powieki.

— Lula! — powiedział wyraźnie, śmiesznie grubym, jak na takiego malucha głosem. Wszyscy zamilkli i odwrócili głowy w jego stronę, a on nie otwierając oczu szukał czegoś dokoła siebie rękami. — Lula! — powtórzył i tym razem głos mu się załamał niebezpiecznie, ale przy nim stała już niespodziewanie Fela i wzięła go delikatnie na ręce.

Wszyscy odetchnęli. Malec wczepił się małymi łapkami w sweter Feli jak przestraszona małpka, pociągnął noskiem, zamamrotał coś niewyraźnie i spał dalej. W dodatku tak zawarta znajomość okazała się początkiem tak zdecydowanego upodobania, tak zaborczej sympatii, że Fela poczuła się nagle zdegradowana do roli ulubionego mebla, miękkiej poduszeczki, którą wszyscy chwalą, że taka przytulna, taka wygodna, tak się dziecku podoba. Albowiem tylko, ku jej zaskoczeniu, tylko w jej objęciach mały gość osiągał tę pełnię zadowolenia, która sprawiała, że wyglądał jak uśpiony pulchny aniołek. Na tapczanie wydawał się mizerniejszy i w ogóle trochę nie na miejscu.

— Jak mama sobie z nim poradzi? — zatroskał się Adam, spoglądając na zegarek.

— Nie bój nic! — odpowiedziała raźnie i młodzieżowo Celina, której niebywale dodała ducha ogólnie panująca zgoda i pogoda. — Przecież nie zostaję sama! Damy sobie świetnie radę! Jedź spokojnie. Ale ty masz już niewiele czasu, a ja ci chciałam jeszcze dać to i owo...

— Zajmę się tym — szepnęła uspokajająco Konstancja — niech pani tylko powie... — i zaraz obie zniknęły w kuchni, skąd dały się słyszeć małe szelesty i brzęki, oznaczające niechybnie pakowanie niezbędnego prowiantu dla ciężko pracującego naukowca. Wyszła z tego nielicha torba, ale posłuszny syn nie protestował, pożegnał się czule z mamą, przyjaźnie z Felą, tak jakoś po koleżeńsku, a kiedy obejrzał się na Konstancję, ta już stała przy drzwiach.

— Ja też muszę wyskoczyć na chwilę, ale wpadnę jeszcze wieczorem, dowiedzieć się, czy czegoś nie potrzeba. — Obiecała i rzeczywiście wpadła wieczorem. Zauważyła od razu wszystkie nieprawidłowości zarówno w wychowaniu dziecka w tym wieku, jak też w urządzeniu mu wygodnego i bezpiecznego legowiska. Nie zwróciła pozornie na nic uwagi, ale cichym, bezbarwnym głosikiem podsunęła tyle praktycznych pomysłów, że kiedy wyszła, mały Adaś nie był już miłym, ale kłopotliwym gościem tylko częścią składową życia domowego. Po prostu — jak jeszcze jedna doniczka z kwiatkiem. Dwa zestawione fotele okazały się znakomitym łóżeczkiem, w którym mały po kolacji i kąpieli zasnął błogo, trzymając dla pewności Felę za palec. Można było wreszcie uznać, że dzień pełen tak nieoczekiwanych wrażeń zakończył się jednak cichym, miłym wieczorem, uspokajającym jak lekki szum wiatru w gałęziach drzew za oknami.

Celina przymknęła oczy i usiadła wygodnie na tapczanie. Fela marudziła jeszcze w swoim pokoju, czekając żeby mały zasnął na dobre i Celina zanurzyła się w błogiej fali samotności, czując jak pomału odpływają od niej wszystkie niepokoje i komplikacje, rozprostowują się wszystkie zakręty i węzły, w których czuła się zabłąkana i uwięziona w tym dziwacznym dniu. A jednak wszystko będzie dobrze! To jasne. Adaś wykazał jednak dużo rozsądku oświadczając, że zrywa z tą Marzeną, która wrobiła Felę w tę całą głupią historię. Marzena? Zdecydowanie głupie imię, zupełnie nie pasuje do Feli.

Cdn.

23

KOSMOS! Bitwa WESTERN i... w KOSMOSIE

Binio Billa

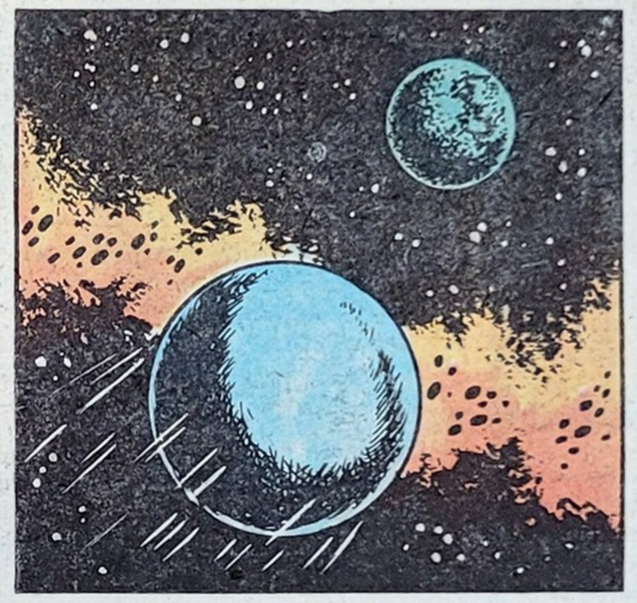

TEKST I RYS:
Jerzy Wróblewski

ŚWIAT MŁODYCH
NAJWIĘKSZA GAZETA NASTOLATKÓW

UKAZUJE SIĘ OD 1949 R.
Nr 111 (4352)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137 – 3214

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).
REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobylecka tel. 29-21-42; **Sekretarz redakcji** Wojciech Wróblewski, z-cy sekr. red. Grażyna Szroeder-Bukowska i Lidia Wojciewska tel. 28-25-48; **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 28-77-21), Maria Jawołska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Jan Orgelbrand (dz. krajowy tel. 28-56-18), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13), Fotoreporterzy tel. 21-98-28. TELEX 81-36-58
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy al Stanów Zjednoczonych 53, 04-021 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49 wewn 403. Cena ogłoszeń: 350 zł za 1 cm² 150 zł za jedno słowo w ogłoszeniach drobnych.
Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: NBP XV OM Warszawa nr 1153-201478-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne: Grażyna Klechniowska
Opracowanie techniczne: Grażyna Pajorkowska
Korekta: Barbara Boguszewska

Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego"
Zam. 3053/G/87. K-70
Nakład 439 000 egz.

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY
00-561

UŚMIECH NUMERU

MĄDRALA ZJADŁ tyle lodów pod koniec wakacji, że przeziębił sobie gardło i dostał wysokiej gorączki. Wezwany do domu lekarz zbadał dokładnie pacjenta i mówi z uśmiechem:

— Mam dla ciebie dobrą wiadomość...

— Domyślam się, co to będzie — przerywa z ponurą miną Mądrala — Na pewno wyzdrowieję do pierwszego września na tyle, że tak czy inaczej będę musiał iść do szkoły...

18

ODPOWIEDNIA DZIEWCZYNA

Maria Krüger

Mały Adaś nie wyglądał zupełnie na dziecko, które przeszło wypadek samochodowy, o czym świadczył tylko mały plasterek na nosku. Spał spokojnie na tapczanie Celiny, która siedziała przy nim, odnajdując w głębi pamięci wszystkie te starania i obawy, jakie kiedyś już przechodziła.

— Dobre to były czasy — pomyślała — na myśl mi wtedy nie przychodziło, jaka dziewczyna będzie dla niego odpowiednia!

Te rozmyślania przerwał dzwonek telefonu. Celina syknęła niecierpliwie, jakby niewczesny rozmówca mógł to usłyszeć, ale Adaś nie obudził się.

— Tak? — powiedziała ściszonym głosem.

— To ja! — zaświergotał wysokim głosikiem doktor Gucio — ja bardzo przepraszam pani Celino, ale tak naprawdę, co ja mogłem zrobić z małym? Malinka odwiozła chłopaków na wieś i wraca za dwa dni, u mnie dom kawalerski, bo mam dyżur za dyżurem, więc pomyślałem, że u pani jest ta miła dziewczyna, to jakoś się małym zajmie. Co? No, naprawdę nie miałem co z nim zrobić!

— A co z jego siostrą? To bardzo ciężki wypadek?

— Nie. Nawet nie — ale trzeba przebadać, bo jeszcze nie wiadomo, czy nie ma obrażeń wewnętrznych, ale chyba nie. Przede wszystkim to jest szok. Reszta będzie wiadoma jutro. Za kilka dni chyba będzie już mogła wyjść.

— Przyjdzie tutaj? — zapytała Celina nieco skonsternowana — no, bo ...

— Nie, nie — zaświergotał zawodowo-lekarskim, uspokajającym głosikiem Gucio — ma gdzie mieszkać. Ojciec wynajął jej pokój w hotelu. Chyba Malinka już wróci, zajmie się małym i dziewczynką. Chłopak zostanie trochę dłużej...

— Jaki chłopak?

— Ten, z którym jechała. Na szczęście wywinął się tylko złamaniem nogi, ale złamanie paskudne! Więc pani Celino złota! Jest taka prośba do pani, a raczej do tej pani Marzenki...

— Trzeba — mówi w chwilę potem Celina, do nadbiegłej w pośpiechu trójki — żeby ktoś z was poszedł zaraz do szpitala po zaświadczenie i na tej podstawie przedłużył rezerwację pokoju dla tamtej Lucynki.

— Tak, jasne. Ja to zrobię, wiem wszystko od pielęgniarki — oświadcza zdecydowanie Konstancja. — Państwo tu macie obiad i dwóch Adasiów! Wystarczy. Lecę.

Rzeczywiście leci, może nawet frunie, mimo że taka pulchna, ale lekka i zwinna w obłoczku szarozłotych kosmyczków. Fela biegnie do kuchni i komenderuje Adasiem, który teraz całkiem sensownie bierze się do roboty. Celina usadowiona wygodnie, odsunięta od wszelkich zajęć patrzy na nich oboje i pomału wraca do zadziwiającego opowiadania Konstancji.

Więc, jak to jest z tą dziewczyną, z tą Marzenką, czy nie Marzenką? Czy to była odpowiednia dziewczyna? Chyba odpowiednia — więc czy szkoda, że chociaż odpowiednia, nie jest jednak dziewczyną Adama? Czy też może jest odpowiednia dla niej, dla Celiny, a zupełnie nieodpowiednia dla Adama? A więc — tu Celinę ogarnęła zgroza — może być również zupełnie możliwe, że dziewczyna odpowiednia dla Adama będzie najzupełniej nieodpowiednia dla niej, dla Celiny, która chyba najlepiej wie, co jest odpowiednie dla jej dziecka, niby to dorosłego, a przecież praktycznie biorąc głupiego, że pożal się Boże! — tu rzuciła okiem na śpiące niewinnie niemowlę i pomyślała z tajoną uciechą: będą z tobą mieli za swoje. Zupełnie jak ja teraz!

— Gotowe mamo! — powiedział nagle wesolutko Adaś, wchodząc do pokoju. — Jedzmy spokojnie, póki ten kajtek śpi.

Nic więc innego nie pozostało Celinie, jak z dobrą miną

Dokończenie na str. 7